



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Przekłady z antologii greckiej.

MIMNERMOS.

Helios! z losów ordynku
Ruch wieczysty przypadł ci;
Trud twój jest bez odpoczynku
Po wszystkie dni!

Zaledwo różana zorza
Wychyli się z morza,
I na niebo się wzniesie
Ponad oceanu fale,
Łoże, rzeźbione wspaniale,
Heliosa niesie.

Hefaistos-bóg to łożo
Własną dłoń ręką żłobił,
Szczerozłote, i skrzydłami
Do lotu usposobił.

Śpiąc słodko, nad wodą płynie
Z ziemi Hesperyd dalekiej
Ku Etiopów krainie
Helios boski, przez wieki.

Tam jaśnieje rydwan złoty,
Rumaki tam ręce stoja,
Czekając aż ranna zorza
Znowu twarz wychyli swoja.

Tam w rydwan wstępuje,
Po niebie żegluję,
Hyperiona syn, Helios.

Helios! z losów ordynku
Trud wieczysty przypadł ci;
Trud twój jest bez odpoczynku
Po wszystkie dni.

ALKMANOS.

Cisza spłynęła na wierzchołki gór,
Osnuły się w spokój doliny,
Umilkły skały sięgające chmur,
Umilkły przepaści, kotliny.

Zasnął wszelaki czarnej ziemi plód,
Zwierz leśny i pszczoły robocze,
Posnęły straszne twory morskich wód,
Ptak żaden się nie zatrzepocze,
Łagodnie śpiący wśród owisłych piór.

Wszystko się w koło marzeniem kołyszę,
I w zapomnieniu kąpie, a ja słyszę
Ten niemy ciszy i milczenia chór ¹⁾.

Alf.

1) Porównaj Goethego:

Auf allen Gipfeln ist Ruh',
Von allen Wipfeln hörest du
Kaum einen Hauch;
Es ruhen die Voegel im Walde.... i t. d.

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Prosper, czy-to odgadł, czy sam się domyślił, że powinien był powiedzieć jej coś o hr. Zygmuncie—rzekł w końcu:

— Wie pani, że ten zacny i najszlachetniejszy z ludzi dotąd o mnie nie zapomniał. Miewam od niego listy... ale jakie smutne!

Lekki rumieniec przebiegł po twarzy gospodyni. Nie śmiała pytać; Sitko mówił dalej:

— Hr. Zygmunt zakopał się na wsi. Pisał mi że nie widuje prawie nikogo; samotność mu najmilsza. Jeszcze to szczęście dla niego, że kupił jakiś majątek, którym się zajął, bo był spustoszony.

Sitko nazwisko majątku wiedział, ale nie wiedział, że on należał do ojca Ludmiły.

— Pani może, znając te strony—kończył Sitko—znasz i te dobra, o których hrabia pisze, jako o czemś ukochanem przez siebie. Położenie musi być piękne. Hrabia pałac dawny odnawia i park stary rozszerza. To jedno go jeszcze bawi w życiu i o tem jednym całe listy mi pisuje. Kazał sobie różne rzeczy rysować, malować, rzeźbić, posyłać.

— Jakże się to nazywa? — zapytała obojętnie Ludmiła.

— Brzegi! — rzekł Sitko, niedomyślając się jakie ten wyraz wrażenie zrobi na Ludmile. Wy-

krzyknęła, usłyszawszy go i zbladła. — Prosper nie mógł pojąć, co się stało. Patrzył na nią, lecz natychmiast zaczął mówić o czym innym.

— Hrabia Zygmunt musi mieć przecież rodzinę? — spytała po małym przestanku.

— Jaka? — odparł Sitko. — Rodzice dawno nie żyją, a on się przecież nie ożeni.

Ludmiła oczy spuściła.

Przeboleła miłość wracała po latach dziesięciu. Nie dozwoliła mówić dłużej Prosperowi i zwróciła rozmowę na Florencyę, w której chciała mu być przewodniczką.

Przesiedzieli tak aż do wieczora; — Prosper wreszcie, ucałowawszy rękę Ludmiły, cały w myślach, poszedł napowrót do miasta.

Korrespondencya jego z hr. Zygmuntem, często po kilka miesięcy przerywana, bo Sitko nie lubił pisać i nie umiał — i tym razem oddawna była zastygła. Zdawało się jednak Sitce, iż miał obojętny donieść mu natychmiast, że znalazł nareszcie Ludmiłę. Wiedział, że po latach dziesięciu uczucie dawne dla niej nie mogło już być tak żywym; przypuszczał, że stała mu się obojętną: sądził jednak, iż rad będzie wiedzieć, jak szczęśliwie — według jej wyrażenia — do portu dopłynęła.

Ręka p. Prospera władzała młotem bardzo zręcznie, piórem nader nieudolnie. Nazajutrz więc rano, gdy przyszło list stylizować, który chciał wyprawić, nim-by mu zakazała Ludmiła, Sitko straszliwie nad nim pocić się musiał.

Szczęściem trafił na najwłaściwszy sposób: na opis swej wędrówki, przybycia do Florencyi i spotkania. Ale, gdy przyszło do zdania sprawy z tego, jak znalazł Ludmiłę, pióro, niezręczne, odmówiło posługi.

„Hrabiankę znalazłem — pisał — dzięki Bogu, w dobrym stanie zdrowia — i, jak mi sama zaraz oznajmiła, właścicielką własnego domku i ogródka. Prawdę rzec, dom i ogródek nieosobliwe i niepiękne, ale i za to Panu Bogu dziękować. Dzieje się jej nieźle, bo Anglicy kopie od niej kupują i roboty ma dosyć“.

O tem, jak ją znalazł zmienioną, usposobioną, Sitko pisać się nie osmielił — bo tego-by nie potrafił opowiedzieć. Prawie do południa przesiadawszy nad przepisywaniem listu, Prosper, zmęczony nim daleko więcej, niż gdyby kuł marmur najtwardszy, poszedł na dobrze zasłużone śniadanie.

Na obiad był proszony do owego domku, który nieosobliwym nazwał, choć wistocie wydał mu się on pięknym. Lecz Sitko dla ideału swego najwspanialszy nawet pałac na Lung'Arno byłby uważał za zbyt mały i ubogi.

Dwa tygodnie towarzysze Prospera pozostali we Florencyi, lecz w końcu czas było wracać do Rzymu. On się wymawiał od tego, myślał: czyby wistocie nie znalazł tu roboty? — Panna Ludmiła namawiała go i pomagała, a oprócz tego ofiarowała mu stół u siebie, który Sitko, nie dla chleba, ale dla przyjemności widzenia jej i służenia swej pani, wielką pokusę miał przyjąć. Wymawiał sobie jednak, że darmo jeść nie będzie, tylko się stołować.

Złożyło się tedy, iż Sitko we Florencyi ugrzązł i do Rzymu już nie myślał powracać.

Było to w początku jesieni.

Zima się już rozpoczynała, a bardziej to przesilenie jakieś, które tu dzieli jesień od wiosny, gdy pan Prosper, który drugi list już był wyprawił do hrabiego, oznajmiający mu o przeniesieniu się nad Arno, pracując jednego rana około olbrzymiego posągu ś. Piotra, usłyszał, na rusztowaniu siedząc, z dołu go dochodzący głos polski:

— Niech będzie pochwalony.

Młot o mało nie wypadł mu z ręki; hr. Zygmunt stał z podniesioną ku niemu głową — i wesoło witał robotnika.

Sitko wcale się go tu nie spodziewał; nie miał odpowiedzi na listy.

— Schodź, mój kochany Prosperze — dodał hrabia — czekam na ciebie.

Sitko stoczył się bardziej, niż zbiegł, chociaż ręki wyciągniętej mu na powitanie uściskać nie mógł, bo jego zakurzona dłoń nie czuła się jej godną.

Radość niezmierna malowała się na jego twarzy; przypatrywał się przybyłemu, drżał i nie

śmiało go nawet pytać o nic, tak był pewien, że listy, które zostały bez odpowiedzi, tu go sprowadziły. Kochał go zawsze; ale ta wierność uczuciu, dla kobiety, którą czcił, czyniła mu go droższym jeszcze.

Razem wyszli z pracowni, chociaż Prosper w swoim przyodziewku wytartym wstydził się towarzyszyć hrabiemu i chciał pójść zmienić suknie na świąteczne.

— Daj — że temu pokój — zawołał hrabia — chcę cię mieć, jak jesteś. Mów mi, opowiadaj, naucz, jak mam postąpić.

— Ja? — zapytał Sitko! — Nie, panie hrabio — na to ja głowy nie mam.

— A więc — rób o co prosić cię będę. — Idź do niej, przygotuj ją do tego, że przybyć mogę. Przyznaj się, iż pisałeś do mnie, powiedz, że oznajmił przybycie moje.

— Jeżeli ci powie, że mnie widzieć i przyjąć nie zechce... Tu hrabia się zawahał.

— Powrócę do Brzegów, nie zakłócając jej spokoju.

Sitko poszedł natychmiast się przebrać i z pośpiechem niezwyčajnym wpadł do domku Ludmiły. Ona tylko co była powróciła z refektarza dawnego klasztoru, w którym przez długie lata ukrytą była Wieczera Rafaela; składała swą tekę i farby, gdy Sitko, jaśniejący radością, wbiegł do jej pokoju.

— Co to cię tak rozruszało i ożywiło? — zapytała, śmiejąc się.

— List miałem od hrabiego! — wykrzyknął Prosper, do przygotowywania wcale niezręczny. — Hrabiego tylko co we Florencyi nie widać!

Z nadzwyczajną obawą oczekiwał Sitko skutku tego wykrzyknika, którego wczasy nie umiał wstrzymać na ustach.

Lękał się oburzenia, gniewu — przestachu, czegoś gwałtownego, co na jego sumienie spaść miało; ale, jak prawie zawsze w rachubach ludzkich, przewidywanie to zawiodło go. Panna Ludmiła stała zupełnie spokojna, trochę bledsza, jakgdyby nie on, ale coś ją już wprzódy do tej niespodzianki przygotowało.

— Hrabia miałby przybyć do Florencyi? — spytała.

— Tak jest! tak jest! — począł Prosper osmielony — miałem wiadomość od niego z drogi.

Spojrzał na Sciborzankę, która oczyma zdawała się go badać, jakby czuła, że kłamał.

— Florencya — dodała — godną jest widzenia, hr. Zygmunt lubi sztukę: nie widzę w tem nic dziwnego.

— I nie widzi pani też, że on przecie tu nie dla Florencyi przyjeżdża?

— A dlaczego? — odparła Ludmiła powoli.

— Dla pani — przerwał gwałtownie przyjaciel, którego oczy małe połyskiwały.

Ze spuszczoną głową słuchała Sciborzanka.

— Nie sądzę — rzekła — a smutnem-by to może było dla niego i dla mnie po latach dziesięciu. Z wystygłymi sercami, zestarzałemi się spotkać — po to tylko, aby się przekonać, że silne uczucia nigdy w całej sile swej długo trwać nie mogą.

Sitko, którego przywiązanie i uwielbienie dla Sciborzanki w ciągu tych lat dziesięciu nie uległy żadnej zmianie, zaprotestował ruchem i słowem.

— A! jak Boga kocham, że nie! — zawołał. — Mnie się zdaje, że pocziwe uczucia rosną, nie słabną. Chybaby ci, co je w sobie noszą, popsuli się i nie byli ich warci, a to — być nie może.

Sciborzanka nie odpowiedziała na to i odwróciła się. Sitko był nadzwyczaj uszczęśliwiony, że ani nie protestowała przeciwko widzeniu się, ani zastrzeżeń nie robiła żadnych. Po dawnem postępowaniu wydawało mu się to trochę dziwnem i niezrozumiałem, chyba — była już dla niego tak obojętną....

— Jeżeli hrabia dziś, jutro przybędzie — odezwał się — jestem pewnym, że pierwszym jego życzeniem będzie służyć pani.

Pani mi nie zabrania?

Sciborzanka poprawiła coś na staludze z pozorowaną obojętnością. Sitko śledził jej ruchy, ale jego znawstwo ludzi i serca ludzkiego nadzwyczaj było ograniczone: szukać go mógł, kto chciał. Brał wszystko za dobrą monetę. Zdumiewał się więc tylko, jak Ludmiła zupełnie wszelkie uczucie w so-

bie stłumiła i myślał: — Tak — dziesięć lat! dziesięć lat! to prawda. — Cóż dziwnego.

— Proszę cię, p. Prosperze — odparła po namyśle, zwracając się z uśmiechem do niego — sam przecież miarkujesz, że to-by było śmiesznem. Dlaczegoż starzy znajomi, którym niegdyś jakieś marzenia przesunęły się przez — głowę, nie mieliby się z nich pośmiać po latach dziesięciu?

Sitko stał smutny. Skłonił się; wdzięczny był nawet, że się tak wszystkim pokojowo kończyło; ale z powodu hrabiego przykro mu było niewymownie. Z góry sobie układał, że mu o tem zastygnięciu wcale nie powie.

Panna Ludmiła natychmiast rozmowę zmieniała i zapytała Prospera: czy ramy rzeźbione, które dla niej miał zamówić — były już w robocie? potem: nad czym on sam pracował? naostatek o jakiegoś wina, które u niej pił i chwalił: czy go nie zechce parę fiasconów wziąć do domu, bo je dla niego odstawiono?

Sitko, zbyty tak — ale uspokojony, wyszedł, wyznając w pokorze przed sobą, że — serce ludzkie było wielką zagadką.

— Osobliwa rzecz! — mówił sobie — daleko więcej okazała wzruszenia, poznawszy mnie na ulicy, niż gdy jej oznajmiłem hrabiego. Biedny hrabia, który ją zawsze tak gwałtownie kocha!

Wróciwszy do hotelu, Sitko ułożył twarz wesołą i oznajmił, że — panna Ludmiła wcale nie protestowała przeciwko odwiedzinom i zdawała się w nich nie widzieć nic niewłaściwego.

Zygmunt starał się go wybadać: jak wiadomość przyjęła, co mówiła; lecz Sitko, niemogąc mu powiedzieć prawdy, zaplątał się; a że kłamał niezręcznie; z jego opowiadania hrabia nie mógł najmniejszego wyciągnąć wniosku.

Prosper był tego zdania, iż dopiero nazajutrz w domku na przedmieściu pokazać się było można. Znał godziny, o których Ludmiła bywała w galerji i w domu, i oznaczył porę najwłaściwszą, jak mu się zdawało — gdy obiad schodził ze stołu.

Dnia tego Prosper do roboty swej nie powrócił; siedzieli razem. Sitko opisywał, opowiadał, bawił, zawczasu przewidując, że spadnie nań potem ciężar pocieszenia tego biednego hr. Zygmunta, dla którego Sciborzanka stała się tak obojętną; oskarżać jej nie śmiał o to, ale trochę go bolała ta — niewdzięczność.

Gdy nazajutrz, ku wieczorowi, zbliżyli się do domku, który zdaleka już Sitko towarzyszowi swemu pokazał, hr. Zygmunt, milczący, ani na pytania nie odpowiadał, ani też nie zdawał się bardzo słuchać tego, co mu mówiono.

Z obawą na dole zapytał Sitko Bettiny: czy pani powróciła? — za odpowiedź odebrał poruszenie głowy. — Ręką wskazał na górę.

W saloniku stała Ludmiła, trzymając obrazek w rękę i zdając się próbować: czy dostatecznie był wyschły. Na widok hrabiego podniosła z wolna oczy, i z zupełnym spokojem i uśmiechem — podała rękę wchodzącemu, który wzrok utopił w jej wejrzeniu.

Co sobie oczy ich w tej chwili powiedziały; drżący Prosper dostrzedz ani odgadnąć nie mógł. Głosem, w którym wzruszenia czuć nie było, odezwała się gospodyni:

— Witam hrabiego!

(Dokończenie nastąpi)

ŻYCIE POD ZWROTNIKIEM

przez

Sygarda Wiśniowskiego ¹⁾.

Pozwólcie mi się wypowiedzieć, że stojący przed Wami podróżnik, wcale nie idealista, ale człowiek dość ściśle z realnem życiem się liczący, a potra-

¹⁾ Wygłoszone jako odczyt na dochód Osad Rólnych, w sali Ratusza Warszawskiego, w d. 30 Marca 1881 r.

caniem przez rozmaite narody zatwardziały, przecież ma swój ideał, dla którego gotów jest nieść ofiary — jeden ideał tylko, ale tem droższy, że tylko jeden. Jako gwoździć w twarde drzewo wbity, tkwi on w sercu mojem.

Spróbuję ten ideał odmalować.

Często mi się wydarza bawić się budowaniem w wyobraźni *d'un château en Espagne*, a ten mój aladynowy zamek na lodzie wydaje mi się cudnym. Stoi on sobie nad żółtą rzeką wspaniałą, u mostów, ze złotych pajęczyn splecionych. Wieniec pól zielonych lub białych go otacza — według pory roku. Jego śliczne wykończone, lekkie, iglaste wieże strzelają popod jasne obłoki nadziei. Sale i komnaty w nim pełne wzorzystych wyrobów perskich krosien, i miękkich aksamitów, i drogich kruszców, i lapis lazuli, i tkanin, i gobelinów, i boskich malowideł zpod włoskiego nieba uniesionych, i białych istot olimpijskich z fidaszowego kamienia. Wciąż się po nim rozlegają pieśni nieśmiertelnych bardów. Kazanłykowe ogrody nie posiadają czarownej, upajającej woni, jaką mój zamek przejęty.

Ponad skarby jego i niebo nad nim, wiecznie błękitne, podziwiam wszakże mieszkańców mego urojonego zamku. On jest tylko ładną skorupą, oni perłami drogiemi. Zmrok komnat mego pałacu oświetlają jaśniej od lamp alabastrowych korony kędziarów na kształtnych główkach dziewic. Nawet wietrzyk swywołnik w pustym się locie lubi zatrzymywać, żeby się temi włosami pobawić, a potem odlecieć słodszy i czystszy, bo go niewinne technienie mieszkańek mego grodu wszelkiej skazy pozbawiło. Przebywają także w moim gmachu urodziwe matrony, których spojrzenie jest tak skromne i uczciwe, że złe każde przed nim się chowa. Łoskot kroków kasztelanów i rycerzy, ciągnących kruzgankami zamczyńska, grzmi majestatycznie od szumu wielkiej rzeki u jego wałów.

I zdaje mi się dalej często w mojem widzeniu, iż niejedno oko z tego zamku mnie, dalekiemu, sympatyczne spojrzenia posyła; że mnie w nim niekiedy wspominają. A te spojrzenia przyswiecały jak gwiazdki na widnokręgu mego pochmurnego, wędrownego życia, a te wspomnienia, do mnie przylatujące, stawały się słowami otuchy. We włóczęgach i postach, gdy się męczyłem, gdy badałem, uczyłem się i zapominałem; w każdej strefie i przystanku, gdzie tylko świeca mego istnienia płonęła powoli: dbałem o opinię zamkowych panów, ważąc zawsze i wszędzie każde pisane słowo, żeby ich uznania nie stracić.

Czyż potrzebuje dodawać, że mój zamek idealny zowie się — Warszawą? że cenna mi dobra opinia jest — waszą? że ideałem moim, dla którego zawsze chętnie poniosłbym ofiarę, jest zatrzymanie waszej przychylności? że w końcu, pochał waszych, nad wszystkie inne przyjemnych, ponad wszystkie inne pożądam.

A skutkiem tej żądzy dzieje się, że, jak wszystkie drogi niegdyś do Rzymu wiodły, jak wszystkie tętna do serca zmiernają, tak też i wszystkie moje długie, kręte, kluczkowate wędrowki sprowadzają mnie w końcu do Warszawy. Niech jeno głowa wrażeniami ozięże, zaraz ciągnie w tę stronę, jak kamień spadający do ziemi. Spieszę wtedy *magnis itineribus*, jak p. Pasek powiadał, do punktu ciężkości mego świata; a chociaż przyznam, iż nie we wszystkim on do mego idealnego zamku podobny, bo ani ulice jego, w braku kanalizacji, różaną wodą nie płyną, ani mury tęczowemi barwami Ekbatany nie płoną, przecież rozczarowania nie doznaję, gdyż spojrzenia przyjazne i słowa przychylna, w snach mych widziane i słyszane, spotykam tu w rzeczywistości.

Zdradziłem Wam już, panowie i panie, moją tajemnicę. Wiecie teraz, że stoję przed wami raczej dla dogodzenia własnej tęsknocie, odczyt mój zaś jest tylko wygodną wymówką mej wizyty. Wyzbaczcie łaskawie jego usterki i rozwlekłość. Próbuje się nie nudzić, podczas gdy będę opisywał kraj i ludzi, przez żadnego z polskich podróżników przedemną nie dotkniętych.

Zechciejcie przenieść się myślą do strefy podzwrotnikowej, do krainy Hesperyd: wyspy uroczej, perłą Antyllów nazwanej — Kuby, której krajobrazy i zwyczaje wolno-by doskonałemi

wzorami klimatycznych, rolniczych i obyczajowych stosunków w ciepłych krajach nazwać. Jej klimat jest tak niepodobnym do wszystkiego, czego się w umiarkowanej strefie doznaje, jak jej charakter odrębnym jest od europejskiego.

Mógłbym się wdać w tem miejscu, gdybym się nie lękał cierpliwości waszej nadużyć, w długą, filozoficzną rozprawę o wpływie klimatu na charakter mieszkańców. Z braku czasu powiem jednak zwięźle, że niema plemienia na świecie, chociażby pierwotnie hartownym, rubasznym temperamentem dawnych wikingów było obdarzone, któreby po kilku pokoleniach rozstrajającym skutkiem ciągłego lata kubańskiego oprzeć się zdołało, bez zleniwienia, osłabienia woli, zniewieściałości. Koniec końców, ani Kubańcy, ani inne narody nie są tak bardzo winne, że są takimi, jakimi je czyni atmosfera, otaczająca ciała, te twarde sukienki duszy plastycznej. Pod biegunem, gdzie cała energia każdej jednostki ledwie wystarcza, żeby odpędzać uśpienie śmiertelne, do którego mróz nieumiarkowany nakłania — pod biegunem musiałby się każdy lud do Eskimosów stać podobnym, t. j. nie znałby ideału i rozkoszy nad zdobywanie i polowanie ogrzewającego tranu. W krajach umiarkowanych, z przemianami zimna i ciepła, gdzie każda zmiana księżyca nowe potrzeby tworzy, widzimy najprzychylniejsze pole do rozwoju wszystkich zdolności, jakimi Aryzycy są uposażeni. Im bliżej zaś słońce zenitu dochodzi, im prościej jego grotty na ziemian padają, im mniej zmian klimatycznych, tem też mniej potrzeb, tem słabsze charaktery, gorętsza krew, trudniej rozumowi i woli namiętność hamować, przyjemniej próżnować. Zwyczaje i obyczaje przyjmują tam niezmienną trwałość temperatury jednostajnej, zajęcia monotonną regularność dni, jednakiej przez cały rok długości. Europejczycy, z jakiegokolwiek narodu, tak żywi i czynni w domu, tak niepodobni do siebie usposobieniem, prędko się tam z upływem czasu w Kreolów przeobrażają, których charakter zawsze jest podobny, chociażby ich pochodzenie i mowa, hiszpańska, francuzka lub angielska, nie pokrewnego nie posiadała.

Kuba, ponad inne kraje gorące, mieści na swej powierzchni czysto-kreolską społeczność.

Podróżnik przybywa zwykle do tej Kuby wąską cieśniną, która z otwartego morza do t. z. zewnętrznego portu Hawany prowadzi. Wjazd do tej przystani, podobnej kształtem do listka koni czyny (jeden z tych listków tworzy t. z. port wewnętrzny, gdzie się handel Hawany koncentruje), wjazd wspomniany nie posiada nic ciekawego, ani malowniczego. Jeśli nim płyniemy w dniu pogodnym, podoba się nam gładkość i przejrzystość wody w zatoce, tudzież jej blask metaliczny, jakiego na żadnym innym morzu nie widziałem. Cała przystań wygląda jak posrebrzana, a okręt zdaje się ślizgać po lustrze. Od lądu wieje wietrzyk luby, woni korzennej pełen.

Na lewo widzimy małą, fortecę-zamek *Moro*, strażnicę przystani, uwieńczoną farem wyniosłym. Od tej cytadelli ciągną się nad brzegiem zaniedbane szanice. Na przeciwnej stronie wjazdu sterczy *Fort Punta*, warownia otoczona kamienicami, których dachy są płaskie, a ściany białe, błękitne i zielone. Naprzeciw miasta, poza wodą, fort *Cabaña* się wznosi. Mijając te rozmaite baterie, parowiec wpływa powoli do okrągłej, wewnętrznej przystani, zawierającej liczną flotę kupiecką z banderami rozmaitych państw. Flaga niemiecka prezentuje się tu częściej, niż w jakimkolwiek innym porcie nieeuropejskim, z powodu ożywionego handlu między Hamburgiem a Hawaną.

Po szklannej powierzchni portu, odbijającej promienie słoneczne w sposób osobliwy, pelżają niezgrabne, malownicze łodzie, a nad każdą z nich baldachim z perkalu w białe i błękitne paseczki rozpięty, żeby osłaniać głowy wiosłarza i pasażerów od grotów południowych. Te czółna są zarazem i wygodą wielką i utrapieniem dla przybywającego do Hawany. Bez nich nie dostałby się nikt na brzeg, bo z powodu płytkości wody okręty do doków nie dobijają, lecz zatrzymują się na środku portu. Z drugiej strony nic łatwiejszego nad wywrócenie się takiej barki lichej do wody, pełnej rekinów; a wiosłarz tyle od nas zażąda przy wy-

siadaniu, jeśli byśmy się z nim poprzednio nie umówili, ileby podróż z Warszawy do Krakowa kosztowała.

Na doku przed komorą celną widzimy pierwszy obrazek hawańskiego lenistwa i biurowych nieznośnych szykan, pełnych formalności. Każdy pracuje, jak za pańszczyznę. Już wiosłarz był leniwy, ale jeszcze leniwiej toczą Murzyni w połataney liberyi urzędowej z dreliszka, nasze kufry do wnętrza komory celnej, gdzie pełno jaknajleniwszych urzędników w wolnych mundurach z białego płótna w błękitne paski i w szerokich panamskich kapeluszach — dodam nawiasem, że ubiór tego rodzaju jest bardzo pospolitym na wyspie i wolnoby go narodowym strojem Hawańczyków nazwać. Murzyni przystają i ocierają pot z czoła co pięć kroków, biurokraci składają pióra co słów pięć, żeby na upał utyskiwać. Ponieważ hiszpańscy rządzący Kuby w każdym gościu zagranicznym emissaryusza rewolucyjnego podejrzewają, więc formalności pasportowe są uciążliwe. Przy rewizyi bagaży panowałyby równie dokuczliwa pedanteria, gdybyśmy nie wsunęli dolara otyłemu Hiszpanowi, którego oblicze i zachłapano sosem surdut smakosza zdradzają. Łapówkę przyjął. Wszyscy urzędnicy hiszpańscy w Antyllach ją przyjmują i, jak się zdaje, wszyscy są żarłokami.

Wyszędłszy z gmachu komory celnej, stajemy na placu pełnym dorożek o dziwnych kształtach. Według zasady, że wszystko może być niepodobne do siebie w dwóch miastach, prócz charakteru i zdzierstwa fiaków, woźnice tych powozów najpierw się kłócą o honor odstawienia nas do hotelu, a potem ten, co nas odwiózł, żąda trzy razy więcej nad legalną takse; z tem wszystkiem niema miasta na świecie, gdzieby dorożki taniej kosztowały, niż w Hawanie. Niema też miasta, gdzieby były w miarę ludności liczniejsze i potrzebniejsze, gdyż szczery Kubańczyk nie poszedłby stu kroków, póki go stać na dorożkę. Niema w końcu miasta, gdzieby konie nędzniejsze były używane, a nawet szkapy warszawskiego dorożkarza drugiej klasy wyglądałyby jak bucefały obok wygłodzonych, dychawicznych, poderwanych zwierząt na ulicach Hawany, w powozach publicznych. Konie w prywatnych ekwipażach są, przeciwnie, piękne i ogniste, a cwałują zwykle ciasnymi ulicami, na postrach przechodniów.

Narodowe powozy Kubańczyków nazywają się *wolantami*. Są to najdziwniejsze na świecie wehikuly, rzadsze już teraz na ulicach stolicy, bo dorożkarze używają najczęściej czterokołowych kabrioletów, zwanych wiktoryami, ale zawsze jeszcze ulubione rodzinom prywatnym. Poza stolicą innych powozów, prócz wolantów, nie używają.

Taki wolant składa się ze skrzynki o podwójnem siedzeniu, nad którem się lekki daszek do spuszczenia i podnoszenia znajduje. Skrzynka spoczywa na dwóch długich, gibkich dragach. Jedne końce tych drągów leżą na osi, na której się dwa pajęczce, wysokie, ponad głowy siedzących w wolancie koła obracają. Drugie dwa końce drągów tworzą dyszle. Między dyszlami idzie koń w pysznej, platerowanemi sprzączkami zdobnej uprzęży. Na koniu siedzi sobie stangret Murzyn, czarny jak kruk, bo wolanty kozłów nie mają. Siedzenie jest tak umieszczone na dragach, że koła się za powozem znajdują, a koń stoi dwa łokcie od przodu skrzynki. Podczas jazdy chwieje się siedzenie jak na resorach, dając ciałom ruch przyjemny, do kiwania się Żyda przy-modlitwie podobny. Liberya stangreta jest oryginalnie paradną. Jego ostrogi srebrne mają średnicę spodków od filizanek, a czarne, fałdziste buty po pas sięgają. Żółta kamizelka i błękitny spencer ze świecącymi guzikami, tudzież kapelusz panamski, szerokości damskiej parasolki, odziewają wyższą część jego ciała. W rękę trzyma harap długi, którym wciąż ponad głową młynkuje. Przy lepszych wolantach idzie drugi koń, zaprzężony z boku, na kierowniku takiej długości, że ten koń boczny swego towarzysza w dyszlach o pół sążnia wyprzedza, a widzowi się wydaje, iż konie idą sztydłem.

Kubanki przepadają za przejażdżką w wolancie. Dwie damy cokolwiek starsze zajmują zwykle

tylne siedzenie. Ich ażurowe musliny, o barwach jasnych, letnich, spływają tak wolno z powoziku, jak bogate, na barki spadające, krucze kędziory z ich główek, na których nigdy kapelusików i czepeków nie noszą. W wielu wolantach znajduje się na przodzie wążutkie, składane siedzenie, zwane *la niña bonita*, czyli ładną dziewczyną, bo na niem usiada najmłodsza i najprzystojniejsza towarzyska. Cały powóz ze swym stangretem, kołniami i ładunkiem wygląda nad opis wszelki malowniczo.

I te wolanty i wogóle świat zamożny wysypują się na ulice hawańskie tylko bardzo rano, albo późno wieczorem. Chociaż kupcy rozpoczynają każdą z ciasnych ulic baldachimy, tak że zawsze cień w nich panuje, przecież po jedenastej przed południem ani nikt sprawunków nie robi, ani żadna dama z domu się nie wychyla. Ustrojone w jaknajlepsze szlafroczyki senory i seniority huśtają się do wieczora w biegunowych fotelach i w cienistych pokojach, których ściany grube upału nie przepuszczają, a żaluzje są zamknięte do zmroku. Tak się huśtając i wachlując, nie czytają, żadną robotką czasu nie zabijają. Kołyszą się, marzą o niebieskich migdałach, palą papierosy. Dopiero wieczór dom się otwiera. Damy, wystrojone wychodzą lub wyjeżdżają na wizyty, za sprawunkami, albo na *Paseo*, czyli bulwar pięknym, gdzie Hawana spaceruje. Pełno tam ekwipaży, kobiet uroczych, elegantów, kłaniających się damom z gracyą kawalerów ośmnastego wieku: słowem, *Paseo* przypomina *Rotten Row* londyńskie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

PRELUDYUM SZOPENA

OBRAZEK DRAMATYCZNY W JEDNYM AKCIE

oryginalnie napisany

przez

M. Głowalewicza.

(Dalszy ciąg).

Laura (*przebiera po klawiaturze i wpada znów na początek Preludjum*)

Ach, nieznośne palce: uwzięły się dzisiaj na tego biednego Szopena! Czy uwierzysz pan, że to one same tak przypominają się do „Wniebowzięcia“, jak Ujejski nazwał moje ukochane Preludjum.

Daniel

Uważałem tylko, że dzisiejszego wieczora powracałaś pani do niego kilkakrotnie. Nic dziwnego: ta melodia ma w sobie jakąś niebiańską pogodę, jakąś woń fiołków podczas księżycowej nocy.

Laura

Oh, nie to tylko!... Ta melodia dla mnie osobiście jest talizmanem miłości.

Daniel

Jak-to?

Laura

Wspomnienia najpiękniejszych chwil w życiu wiążą się z tem preludjum; ono towarzyszyło pierwszej mojej rozmowie z Ludwikiem (*opowiadając dalej, przygrywa sobie pocichu*). Nie było to wprawdzie tak romantycznie, jak w poezji Ujejskiego, nie było księżyc na niebie, ani woni fiołków w powietrzu, ale był wieczór letni, cichy, jak ten, byliśmy we dwoje tylko przy fortepianie... ja grałam, a Ludwik mówił mi o swojej miłości, o naszym szczęściu, — o tem, co obie nasze dusze marzyły, a co ja przelewałam w pieśń Szopena, a on w słowa pełne takiej wiary we mnie i w siebie, w naszą przyszłość i w harmonią serc naszych!

Dziwnie to piękna była chwila! Potem, gdyśmy się pobrali, tu, na temsamem miejscu siadywaliśmy codziennie szarą godzinką na rozmowę. Była zima wtedy, śniegi ubieliły świat dokoła, zasypały cały nasz dworek; żywej duszy, oprócz nas dwojga i służby nie było w całym domu. Wtedy było nam najlepiej. Byliśmy sami i tylko dla siebie... i często w ciemnym pokoju ja siadałam do fortepianu, Ludwik przy mnie; ja grałam, on całował mnie po rękach i mówił, że jest najszczęśliwszym z ludzi!... Mój Boże! jakie to piękne były te nasze wieczory, a pocziwy Szopen nawet się nie spodziewał, że jego Preludjum będzie dla pary kochających serc całym słownikiem miłości i szczęścia.... Potem jeszcze, potem.... często przy nim usypiałam moją Misie, gdy zasnąć nie chciała. Nie zdziwisz się pan temu, że mimowoli wracam tak często do tej melodi, chociaż.... w ostatnich czasach coraz rzadziej przypominam ją sobie i Ludwikowi.

Daniel

O nie, nie dziwię się teraz—pani.

Laura (*wstaje od fortepianu*)

Ale że mnie wcale nie zabawna gospodyni! Od dwóch dni bawisz pan już u nas, a słuchać musisz tylko moich zwierzeń, nudzisz się w naszym domowym zaciszu. Oj, rdzewiejemy, panie Danielu, jak powiada Ludek. Panu, wracającemu z wielkiego świata, pociesznem wydawać się musi to nasze życie wiejskie na ustroniu, zabitemi deskami. Gdyby nie pani Ewa, która zjechała na kilka tygodni do siebie, o pół milki tylko od nas, gdyby nie odwiedzała nas prawie codziennie, moglibyśmy zapomnieć o całej Europie.

Daniel

Alboż pani Ewa aż całą Europę przypomina?

Laura

Oh, to bardzo światowa dama; ja przy niej wyglądam jak trusia i słucham tylko, gdy mówi. Dla mego Ludwika to prawdziwa rekreacja teraz. Całemi godzinami gadają z sobą na wyscigi.

Daniel

Przepraszam, że spytam z prostej ciekawości: pani Ewa mężatka?

Laura

To jest: tak i nie; ma męża i nie ma go. Żyli z sobą długi czas za granicą: w Paryżu, we Włoszech; podobno nawet rozchodzili się kiedyś: ale teraz pan Seweryn—właśnie mąż pani Ewy—wyjechał gdzieś za interessami do swoich dóbr na Ukrainę i od roku prawie nie wraca. Zresztą, nie znam tak dokładnie tych stosunków. Ludwik to panu lepiej opowie.

Daniel

To pewnie nowa znajomość pani?

Laura

Moja—tak, ale mąż znał ją podobno jeszcze za kawalerskich czasów. A panu jak się podobała?

Daniel

Czy mogę być szczerym?

Laura

O, koniecznie.

Daniel

To powiem, że wcale nie. Jest zanadto.... niebezpieczną, jak na kobietę.

Laura

Jak to pan rozumiesz?

Daniel

Chciałem powiedzieć, że ma za dużo broni zaczepnej i odpornej. Na jej czole i w oczach zdają się świecić te Cezarowe wyrazy: *veni, vidi, vici!* Kobiety takie, przyzwyczajone do zwycięstwa bez oporu, nie zsiadają z tryumfalnego wozu, który ich wiezie drogą życia, ciągniony przez tłumy niewolników; tak się przyzwyczajają brać cudze serca, że o swoim własnym zapominają zupełnie i nie oddają go nikomu. Są to Molochy miłości, żądne ciągle nowej ofiary.

Laura

Jaki z pana surowy sędzia!

Daniel

Nie darmo noszę swe imię; chociaż bowiem nie siedziałem nigdy jeszcze w lwiej jamie, przysiadłem się już do niejednej lwicy w arenie wielkiego świata i ztąd znam je lepiej od innych.

Laura

Bądźcobądź, pani Ewa jest niepospolitą kobietą.

Daniel

Czy i Ludwik zdanie to podziela?

Laura

On przedewszystkiem: a Ludwik zna się na tem. Pan wiesz najlepiej, jaki to był pogromca serc za swoich.... gladiatorskich czasów w salonach.

Daniel

Oh, pamiętam, pamiętam. Zwycięzki gladiator opierał się najsroższym lwicom, a dał się pokonać....

Laura (*z uśmiechem*)

Potulnej owieczce—chcesz pan powiedzieć?

Daniel

Nie—gołębicę łagodnej.

Laura

Ach, przyznam się panu, że komplement nowy i oryginalny.

Daniel

To nie komplement, to prawda.

Laura

Ale, *à propos* gołąbka: przypominał mi się Lolo pani Ewy. Prawda, jakie to śliczne dziecko.... Wczoraj, gdy popołudniu deszczyk rosić zaczął, gołębie nasze (schroniły się pod okna oranżeryi i zmoczone otrzępywały piórka z wody. Lolo, widząc to—przybiega do matki, zaczyna ją ścisnąć za kolana, całować po rękach i prosić.... zgadnij pan o co?

Daniel

Aby gołąbki wpuścić do pokoju?

Laura

Gdzie tam—aby im wynieść parasol!... Prawda, jakie to naiwne, ale jakie przytem ujmujące! Złote ma serce ten malec, tylko za czule. Uważałeś pan, jakie ma śliczne, smutne oczy—zupełnie odmiennie od oczu matki. Pani Ewa powiada, że będzie z niego wielki mazgaj, gdy podrośnie.

Daniel

Pani Ewa nie lubi smutnych.... dzieci.

Laura

Wogóle nie bardzo lubi dzieci: utrudzają ją nadto. Mój Boże, jakby to dziecko matkę utrudzić mogło!... Ja przy chorej Misi siedziałam dwa tygodnie po całych nocach nad kołyską i... ale, ja znów mówię o sobie. Ah, przepraszam pana, przepraszam, już nie będę więcej.

Daniel

O, pani....

Laura

Ludek zburczałby mnie za to, gdyby słyszał naszą rozmowę; ale, co to się znaczy, że go jeszcze niema do tej pory? Sciemniło się zupełnie, czas podać do herbaty.... wybaczy pan, że go zostawię samego na chwilę. Ot, przejrzyj pan ostatnie pisma illustrowane i książki, które mi przysłano z Warszawy. Może się z nimi lepiej zabawisz, niż ze zdziczałą, wiejską gospochoą.... do widzenia, za chwilę!

Daniel (*klania się odchodzącej Laurze, potem idzie ku otwartemu oknu i oddycha głęboko*)

Mój Boże!... i ja mogłem być szczęśliwym!...

SCENA II.

Daniel (*sam*)

Trzy lata przygłuszyły w sercu chorem tajoną miłość. Nie chciałem ryzykować, nie chciałem uczynić jej nieszczęśliwą.... Ha! może się i lepiej stało. Powiedział ktoś, że z zabitej miłości rodzi się inne jakieś, szlachetniejsze uczucie. Musi to być prawdą.... doświadczam tego sam na sobie. Zdało mi się, że kocham ją jeszcze, ale już nie tą miłością gorącą, pełną żądz i pragnień, tylko jakąś cichą, spokojną, miłością brata.... Szczęście jej sprawia mi dziwną radość.... Przed trzema laty musiałem uciec ztąd, aby nie ranić serca jej widokiem; dzisiaj z uśmiechem pogody słucham jej spowiedzi, jej zwierzeń serdecznych z pożycia małżeńskiego, i dałbym nawet resztkę tego życia, aby jej kilka jaśniejszych promieni dorzucić, jeśli by ich potrzebowała (*po chwili*). Ale czy potrzebowałyby kiedy?... Tak tu ciepło, lubo, swojsko, w tej atmosferze domowego szczęścia.... Kocha Ludwika i jest kochaną.... jest?... chyba inaczej być nie może. A jednak Ludwik wydaje mi się trochę zmienionym; to zachowanie się względem owej pani Ewy, te wycieczki sammasam, ta poufalskość jej dla niego.... Może się mylę.... powinienem się myśleć koniecznie.... zobaczymy zresztą.... No, szerserel.... umiałoś dochować tajemnicy dotąd, nie kuś się teraz, gdy już na wszystko zapóźno! (*po chwili*). Śliczną noc będziemy mieli, — co za rozkoszny zapach sianozęci płynie od łąk! (*opiera głowę o okno*). Dobrze mi tu!... Co to? (*wychyla się przez okno, spojrzawszy cofa się do salonu i zpoza firanki wygląda przez chwilę, potem odchodzi ku stolikowi śpiesznie*). Więc nie omyliłem się?!

SCENA III.

Daniel.—Ewa (*wsparta na ramieniu Ludwika, wchodzi, śmiejąc się wesoło*)

Ewa

Zawsze tensam bałamut z pana, zawsze idący przebojem....

Ludwik (*spozstrzegając Daniela, kładzie palec na usta i daje jej znak milczenia*)

Ale przyznaj pani, że cicerone ze mnie wyborcy;—jak się masz, Danielu?

Daniel (*klaniając się Ewie*)

Witamy!

Ewa

Ah, pan tu?

Ludwik

Cóż, mój filozofie — masz jakąś minę chmurnego Jowisza; wyglądasz po dwóch dniach pobytu z nami na wsi, jak istny *Jupiter pluvius*.

Daniel

Nie uważaj na to. I słońce traci blask swój, gdy je chmura zasłoni.

Ludwik

Więc odgadłem rzeczywiście, żeś zachmurzony?

Daniel

Może.

Ludwik

Czy wolno spytać: dlaczego?

Daniel

Pytać wolno, ale żądać odpowiedzi—jeszcze nie.

Ludwik

Ah, zaczynasz mnie rozciekawiać....

Daniel

Czy być może?... sądziłem, że mi się to tylko u kobiet dotychczas udawało, ale u mężczyzn....

Ewa (*z uśmiechem*)

Nie wielkiej pan sztuki dokazywałeś: my kobiety jesteśmy uosobioną ciekawością z natury. Ja np., przyznając się otwarcie, jestem tak ciekawą, że byłabym gotową....

Daniel

Wyjąć żywe serce, aby się przekonać, co w niem jest?

Ewa

O, tak okrutną nie jestem, bałabym się.... powalać sobie krwią palce.

Daniel

To też panie — mówię wogóle—zabijacie serca, jak się gołębie zabija: dusicie je.....

Ewa (*śmiejąc się*)

Oryginalne spostrzeżenie pan zrobiłeś. Czy to na sobie?

Daniel

Nie, na drugich. Moje serce było dotąd przedmiotem studiów.... dla lekarzy jedynie.

Ewa

Ah, prawda,—opowiadał mi właśnie dzisiaj coś o tem pański przyjaciel, p. Ludwik, gdyśmy zwiedzali ruiny starego zamczyska.

Daniel

Tak?... byliście państwo w ruinach?

Ludwik

Pani Ewa chciała poznać trochę osobliwości naszej okolicy: więc zaczęliśmy od ruin.

Daniel

Lepiej od nich zaczynać, niż na nich kończyć....

Ludwik

Dziwnie sentencyonalny jesteś dzisiejszego wieczora.

Ewa

Czy to środek rozciekawienia większego?

Daniel

Może.... (*do Ludwika*) Czy posłaniec z poczty powrócił?

Ludwik

Powinien był powrócić.

Daniel

Pójdę zobaczyć.... (*klaniając się Ewie*). Pani....

Ewa

Panie....

Daniel

Będę w twoim pokoju, Ludwiku, gdybyś mnie potrzebował....

Ludwik

Zobaczymy się przecież przy herbacie?... (*Daniel odchodzi*).

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Dra Reich'a „Praca i nędza“. — Pogląd na stosunki społeczne. Środki zaradcze. — Warunki pracy. — Zdrowie ciała i ducha. — Czynniki lecznicze. — Treść dzieła M. Nordauna „Paryż“. Studia i obrazy. — Odwet za Tisotą. — Czarne strony. — Portrety i karykatury. — Rzut oka na całość dzieła.

Nie wiem: czy jakiegokolwiek dzieło nowe, o piekących kwestjach społecznych, mogło być požądańszem i gruntowniej rozstrzygającym wielkie zadanie pracy i niedostatku, nad świeżo wydane przez Dra Edwarda Reich'a *Arbeit und Lebensnoth*. (*Arbeit und Lebensnoth, aus dem Gesichtspunkte der Gesundheitspflege und des Humanismus betrachtet*, Berlin, Hempel, 8-o, pp. 456). Chociaż autor jest lekarzem z powołania, stanowisko jego w tym przedmiocie tak jest niezależne od dziś przyjętych teoryj materialistycznych, tak wysokie, a owocem jego są tak trafne postrzeżenia, że czytając niepodobna się nie cieszyć, nie przyklasnąć, nie zapragnąć, aby dzieło to przynajmniej w części u nas rozpowszechnionem i przyswojonym zostało.

Sam wstęp już daje nam wyobrażenie o sposobie zapatrywania się Dra Reich'a na kwestyę pracy, wbrew przeciwnym ogółowi dzisiejszych ekonomistów. Potępia on, odpycha pojęcie „walki o byt“, bo wierzy w to, że człowiek wykształcony do bytu pomagać drugim, a nie walczyć oń jest przeznaczony. „Uczeni ekonomiści, mówiący nam o konieczności walki o byt i o nieuchronnem ubóstwie, dowodzą — pisze autor — że w rzeczywiste ukształcenie i wyrobienie ducha ludzkiego, w prawdziwe uszlachetnienie i podniesienie serca, nie wierzą — i nie umieją dalej wi-

dzień nic, nad gospołą i wieżę kościołka wiejskiego. Owo „żelazne prawo“ ekonomistów jest teoretyczną mrzonką, a w praktyce najgrubszym egoizmem“.

Idźmy dalej: „W krajach, gdzie powierzchowna cywilizacja jest niepomiernie wybujała i przechodzi wewnętrzne udoskonalenie, gdzie zasada „czas to pieniądz“ władza wszystkimi umysłami i wszystkimi sercami odrętwia—pracują ludzie więcej niż potrzeba i więcej próżnują, niż-by zdrowie wymagało. Wielkie masy ludności skazane są tam na pracę bez ograniczenia i celu, a ledwie nią życie mogą utrzymać; co gorzej, mimo pracy nadmiernej, lud w czasie przesileni ekonomicznych cierpi głód, nędzę—i ginie.“

„Dlaczego i doczego ta praca bezmierna? Czy z niej rośnie jaka istotna korzyść ludzkości? Sta tysięcy biednych istot upadają pod ciężarem tej pracy i nigdy się wydobyć nie mogą z głodu, z nędzy, z podartych łachmanów, z cuchnących mieszkań, nigdy nie są zdolne ducha w sobie kształcić, serca podnieść. A owoce tej pracy? Gniją w magazynach, rdzewieją, pleśnieją przez pół; czwarta ich część się rozchodzi może tylko i przynosi pożytek. Ta część właśnie, przy słuszniejszych zasadach, któreby społeczeństwem rządziły, starczyłaby, i czwarta część pracy owej byłaby dostateczną. Niezmierna ilość chorób, które powstają teraz z nadzwyczajnej produkcji, ze zbytich wysileni; niezmierna cielesna i moralna nędza, która z tego źródła płynie i coraz szerszymi kołami ludzkość obejmuje—wszystko to rodzi się ze spotęgowanego egoizmu i próżnej imaginacji mniejszości, po większej części ludzi niedostatecznie wykształconych, niesympatyzujących z niczem, stworzeń bez filozoficznych pojęć, które chwilę jakąś i mniemane potrzeby chwili biorą za miarę praw ludzkich na wieki-wieków, za punkt wyjścia wszelkiego czynu i kierunku, i tym zmyślonym potrzebom poświęcają szczęście, zdrowie, cnotę współbraci...“

„Wszystkie materyalne ulepszenia w życiu, wszelkie techniczne i ekonomiczne pomoce, wszelkie medyczne i higieniczne środki nie przyniosą żadnego skutku bez głęboko sięgającej obyczajowej reformy całego naszego prywatnego i publicznego bytu. Z prawa i z obyczajów trzeba wyznaczyć zasadę zapłaty za wszystko; trzeba serca podnieść do należnego im znaczenia; nie godzi się, by zimny samolubny rozsądek głuszył rozum, bo rozsądek pracuje tylko dla siebie.“

„W miarę, jak się wyrzekamy wszelkiego współczucia dla bliźnich, wszelkich celów moralnych;—upada wychowanie, rodzina i ta religia, której guiazdem jest serce. W takich-to czasach i okolicznościach widzimy stanowione prawa, które dążą do tego tylko, aby obciążonego nad miarę jeszcze bardziej obciążeni, niepomiernie zbogaconych jeszcze bogatszymi uczynić; od losu upośledzonego upośledzić gorzej, i na skraju zepsucia stojącego, zamiast ratować—popchnąć jeszcze do przepaści.“

„Pod panowaniem takich praw niedostatek nie tylko coraz się staje większym, ale całe społeczeństwo prędzej czy później do rozkładu zupełnego iść musi, fizycznie i moralnie; cierpienia organiczne zwiększają się, rośnie liczba przestępstw; obłęd, samobójstwa, występki i zbrodnie mnożą się; ginie poczucie prawdy, swobody i wszelkich wyższych celów; nauka staje się rzemiosłem, sztuka poniża się; nawet z filozofii wyklują się zepsucie—a ostatecznie nieszczęście wszystkich.“

W kwestyi pracy autor stawia za zasadę, że zachęty do niej, nauki, rozporządzenia będą próżne, dopóki siła, która daje ochotę do pracy, stanem zdrowym człowieka wyrobioną nie zostanie. O to zdrowie, dające siłę, starać się potrzeba. Podstawą ochoty do pracy jest zdrowie ciała i duszy.

„Dla mnie—odzywa się wreszcie—praca, miłość bliźniego, rozum, są jedynym środkiem leczącym wszelką nędzę; ale żaden z tych czynników zosobna wzięty, tylko wszystkie razem.“

„W teraźniejszym organizmie społeczeństw, gdy praca do utrzymania bytu nie starczy, musi miłosierdzie ją zastępować, a tam, gdzie trudem nad miarę obarcza, powinien rozum i miłość bliźniego pojedynczych indywiduów i ogółu regulować stosunki.“

Inaczej ani jednostki ani ogół zdrowi nie będą.“

„Kto sądzi, że sama praca może zapobiedz nędzy, szczególnie w państwach grubego egoizmu, myli się i wpada w obłęd. Sama praca nigdy jeszcze nędzy nie stłumiła; te kraje, w których ludzie pracują najwięcej, mają najdotkliwszą nędzę. Tam ubóstwo daje się czuć najmniej, gdzie miłosierdzie największe, gdzie zarazem owoc pracy najlepiej zapewniony; gdzie ona odbywa się z ochotą i zamiłowaniem, gdzie stojący u steru i całe klasy społeczne zajmują się nią czynnie.“

„Kto sądzi, że przez ukształcenie pracownika lub pracy nędza może być zniesioną, myli się także. Nie mówiąc już o tem, że dla znaczniejszej części ludzi ukształcenie zaledwie lub wcale nie jest możliwym, największy rozum i przezorność nie bronią od głodu, gdy miłość bliźniego w pomoc nie przychodzi.“

„Praca—dodaje Dr Reich, jest jednym z czynników, ale nie jedynym. Miłość bliźniego i oświata muszą iść z nią razem.“

Stan dzisiejszy społeczeństw — zowie on — pół-barbarzyńskim, i—może ma słusność.“

Daliśmy tylko bardzo niedostateczne wskazówki zapatrywania się Dra Reich'a na przedmiot, który on z wielką ścisłością opracował.“

Pierwsza część dzieła poświęcona jest pracy, jej podziałowi (w pojęciu o potrzebie jego różni się autor od dzisiejszych ekonomistów) ochocie i wstępowi i do niej, pracy głowy i ręcznej, pracy i sposobowi życia, pracy w stosunku do klimatu, do mieszkań, do obyczaju. Mówi o różnych powołaniach (gospodarstwo rolne, rzemiosło, fabryki, handel, wojskowość, państwo, służebnictwo, nauka, powołania uczone, artyzm i t. p.). W części drugiej: o nędzy i jej przyczynach, wiele nadzwyczaj trafnych a niespodziewanych uwag znajdujemy, między innymi i—upadek klasztorów.“

Lecz potrzeba całość przeczytać i przestudować, aby o ważności i zdrowym duchu, jaki z niej wieje, mieć pojęcie. Tyle się u nas tłómaczy: czyżby się nie znalazł ktoś, coby tę piękną, rozumną, a nadewszystko poczciwą i dobrą, książkę nam przyswoił? Gorąco tego pragniemy.“

„Paryż; studia i obrazy z prawdziwego miliarda kraju“, przez Maxa Nordau'a, dożyły w krótkim czasie drugiego, pomnożonego wydania (*Studien und Bilder aus dem wahren Milliardenlande*, Leipzig, Duncker u. Humblot, 1881, t. I 322, t. II 336 pp.). We Francyi drugie, piąte a nawet piętnaste wydanie nie ma tak wielkiego znaczenia. Wydanie, a raczej pierwsze okładki, odbijają się w niewielkiej liczbie egzemplarzy, co dozwala wkrótce puścić w świat nowe odbitki, które dziełu służą razem za reklamę. W Niemczech powoli i mało nowości dochodzi do kilku wydań.“

Z samego tytułu widzimy, że obrazy te i studia nie bez myśli odpowiedzenia Tissotowi były kreślone; jest to: piękne za nadobne.“

Pan Max Nordau, który, jak sam powiada, zna całą Europę z wyjątkiem Turcyi, podróżował wiele, (a z powołania jest doktorem medycyny) miał więc skalę do porównania stanu Francyi z innymi krajami we własnych wspomnieniach. Oprócz tego, zdaje się, że różnemi czasami, przed wojną i po wojnie, tu przebywał. Znajomości francuzkiego społeczeństwa, pewnych sfer jego szczególnie, odmówić mu nie można, ani trafności w postrzeżeniach i daru pewnego wyrażania żywo swych myśli. „Paryż“ jego ma w sobie wiele stron zajmujących, wiele nawet prawdy częściowej, ale grzeszy jednostronnością zapatrywania się, tendencyą, dobro-czy mimowolną: odmalowania ciemnych i najmniej dodatnich stron życia, na które zapatruje się ze stanowiska dozwalającego widzieć najdrobniejsze plamy, ale nie wielkie plany, jasne i świetne, które obok istnieją.“

Nie sympatyzujemy zbyt mocno z dzisiejszą Francją, której stan moralny z wielu względów jest opłakany: lecz niepodobna zaprzeczyć, że tam jeszcze pozostało wiele i szlachetnego i dobrego i uczciwego—że są żywiły dodatnie, niedozwalające zwątpić o przyszłości. Zmiany zaszły od lat dziesiątka, nie wszystkie na lepsze, znamionują przecież zwrot pewien nowy i pragnienie przynajmniej poprawienia tych błędów, które katastrofy były przyczyną.“

Trudno wyzwolić się od wpływu i następstw

tak zatrważającego porządku rzeczy, jaki wprowadziło Drugie Cesarstwo; lecz samouznanie zepsucia prowadzi do reformy.“

Pan Nordau daje w pierwszym tomie naprzód obraz teatru i aktorów, potem ogólne rysy życia paryzkiego. Pierwszy z nich jest niepełny i zawiera tylko niektóre głównejsze życia ogniska: Miasto i mieszkańcy.—Znikniona dzielnica.—Paryż w szlafroku.—Przedmieście St. Germain.—Dzielnica łacińska.—Belleville.—Pola Elizejskie i t. p. W drugim znajduje się: Alkoholicyzm paryzki.—Wiosna w Paryżu.—O dzieciach i wychowaniu.—O cyganstwie (Bohème).—O kobietach.—Salonach i t. p.—Nowego, dla tych, co czytają niemieckie pisma o Francyi, jest tu niewiele; wszakże niektóre artykuły zasługują na wyszczególnienie, „Dziennikarstwo cygańskie“ między innymi.“

Nie potrzebujemy powtarzać, że strona czarna wszędzie przemaga, że społeczeństwo to, jakby rozkładające się, nieporatowanie skazane na zgubę, jest wystawione. Moglibyśmy spytać: czy, ściśle wzięwszy, o wiele lepiej jest w wielkich ogniskach życia w Niemczech, a w szczególności w Berlinie?

Tom drugi mieści—portrety i karykatury (*Chargen*) Gambetty jako mówcy; Dumasa jako moralisty; G. Sand (bardzo czarny); ex-księdza Hiacynta; typowego prudhomme'a, generała Changarnier (karykatura); naostatek i Sary Bernhardt, a nawet Coquelin'a. Co do Gambetty, charakterystyka, choć złośliwa, ma pewną stronę oryginalną; Changarnier jest wystawiony poczwarnie a śmiesznie; G. Sand bez uznania dla jej niezaprzeczonego talentu artysty. Natomiast koloński żydek, jak go Nordau zowie, Offenbach, wychodzi tu prawie na genialnego reprezentanta ducha wieku!

Obchody Zaduszek, Nowego Roku, narodowych świątek, dostarczyły materyału do osobnego działu; a inny cały poświęcony jest sławnym procesom (causes célèbres), w których autor szukał, naturalnie, potwierdzenia swojego pesymistycznego zapatrywania się na Francją. Zamyka dzieło historia idei odwetu i objawów jej w społeczeństwie, począwszy od liryki do teatru.“

Taką jest treść dzieła, które, jak mówiliśmy, samo jest odwetem za Tissota. Porównywać z sobą dwa te owoce nienawiści międzynarodowych, byłoby niemożliwym. Więcej jest faktów, szczegółów i dowcipu u Tissota, więcej powagi, rozumowań, rozwlekłych wywodów u Nordaua. Dzieło jego ma tę fiziognomię właściwą niemieckim elaboratom, które często powagą przybraną zastępują gruntowność; jest napozór chłodne, — ma czasem jakies słowo uznania, które podnosi tylko znaczenie ostatecznego wyroku, wypadającego zawsze surowo.“

W portretach uderza jakby umyślnie pominięcie Wiktora Hugo, który jest nietylko w całym znaczeniu dziecięciem Paryża, ale dziś zajmuje tak wybitne stanowisko — iż zapomnieć o nim się nie godziło. Usprawiedliwionem-by było pominięcie G. Sand, już nie żyjącej i nigdy nie związanej tak ściśle z Paryżem, aby wizerunek jej tu był niezbędnym.“

Niektóre z tych obrazów i studiów zasługiwałyby może na przekład lub skrócenie, gdyby, wyjęte z książki, mogły być ocenione bez tych wszystkich okoliczności łagodzących, jakimi całość je obdarza. Osobno wyszłyby za jaskrawo, za ostro: gdy w obrazie całym barwy te kolorytem jego—jeśli się nie uniewinniają, to tłómaczą.“

IRLANDYA

RYŚ JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł)

(Dalszy ciąg).

W rok po nowej reformie parlamentu w Wielkiej Brytanii, uchwalonej w roku 1867, prze-

prowadzono niżenie podstawy szacunkowej do czynnego prawa wyborów w miastach irlandzkich z 12 f. st., jak było od czasów porowolucyjnych (1848 r.), na 4; stopa taka odpowiada uprawnieniu przez nową reformę *house-holderów* angielskich. W końcu r. 1868 dostał się do władzy Gladstone. Zaraz w Marcu (d. 1) 1869 r. przedstawił Izbie Gmin bill, jeśli nie ważniejszy, to trudniejszy do przeprowadzenia, głębiej wdzierający się w narodowe przesady Anglików od Billu Emancypacyjnego, Bill „O odpaństwowieniu kościoła w Irlandyi“ (*disestablishment of the Irish Church*). Izba po długich i zaciętych sporach ostatecznie nadała projektowi moc prawa, nieznaną go zmieniący. Do ostatecznego głosowania stanęły stronnictwa w takiej pełni, jaką rzadko która uchwała w parlamencie angielskim poszczycić się może: 361 przeciwko 247. Projekt przeszedł zaraz do Izby Lordów, która wprowadziła do niego liczne i niedające się uwzględnić zmiany i potem dopiero (w d. 6 Lipca) przyjęła. Billowi tak zmienionemu Izba Niższa odmówiła uznania. Potrzeba było, aż kompromissu pomiędzy rządem a stronnictwem *Tories*, aby prawnu życie zapewnić. Kompromis ten stanął w d. 23 Lipca, a w cztery dni później królowa podpisała nowe prawo. Dyskusji w parlamencie wtórowały rozruchy w Portadown (w Lipcu).

Uchwalona reforma była bardzo doniosłą. Kościołowi Anglikańskiemu Elżbiety i Jakóba I. pozostawiono tylko półtora roku do skonania; z d. 1 Stycznia 1871 miał się on zamienić w prywatne stowarzyszenie religijne pozbawione grozy i przymusu. Z ogromnego majątku pozostawiono mu jeszcze, dzięki Izbie Wyższej, bardzo wielki, bo 12 mil. f. st. na 600,000 wyznawców, ale zniesiono raz nazawsze wszelkie opłaty i podatki; przewyżkę majątku i dochodów przeznaczono na cele oświaty i miłosierdzia publicznego; biskupom anglikańskim irlandzkim odjęto godność parowską i władzę sądową państwowo-kościelną; całe mienie duchowieństwa anglikańskiego, w kapitałach i w rentach, oddano pod zarząd kommissarzy J. Kr. Mości.

Tak pokonano gwałt odwieczny; ohydny potwór leżał już na dnie przepaści. Bill z d. 27 Lipca 1869 r. jest jednym z największych czynów w dziejach nowożytnych, a stanowczo największym czynem w życiu Gladstone'a. W kraju wzmógł się zaraz duch publiczny. Duchowieństwo katolickie podniosło się odrazu w godności i wpływie społecznym, nabrało odwagi, i zyskało niezbędną do wszelkiej prawdziwie pozytywnej działalności swobodę; miało wreszcie na przyszłość polepszyć swój byt materyalny. Zaraz w Sierpniu, po uchwaleniu prawa, biskupi w Maynooth zebrani postawili żądanie dalszych uprawnień dla katolicyzmu i dla narodu; zażądali: billu rolnego, zamiany „szkół narodowych“ początkowych na wyznaniowe, katolickie, założenia i utrzymania przez państwo katolickiego uniwersytetu. Tymczasem wielki meeting Fenianów, pod Dublinem w d. 10 Października odbyty, cisnął pioruny i na bill kościelny i na Anglię i na biskupów. Bill, zamiast zadowolić krańcowych, jeszcze ich rozdrażnił. Nienawiść ku Anglii wzrosła: lud patrzył na to, czego jeszcze nie miał, i nie uwzględniał tego, co zyskiwał. Żądanie poprawy stosunków rolnych stało się powszechnem. Dla zamanifestowania się przeciwko rządowi wybrano w Listopadzie wielkiego przestępcę państwowego, O'Donnovan'a Rosse, do parlamentu; parlament wyboru nie uznał. W Grudniu zaczęto się w Londynie obawiać nowych zamachów fenianских i w hrabstwie Munster nagromadzono wojska. Wrzenie przeniosło się na północ i rząd ogłosić musiał prawa wyjątkowe w hr. Londonderry.

Jednemu z punktów programmatu postawionego w Maynooth stało się zadość przez wniesienie billu agrarnego (w Lutym 1870 r.) W nowym tym projekcie Gladstone, posuwając dalej pracę prawodawczą Peela, brał pod opiekę wszystkich dzierżawców i zwyczaj Prowincyi Ulsterskiej, zabezpieczający trwałość posiadania, czynił obowiązkowym dla całego kraju. Odtąd każdy dzierżawca ustępujący ma prawo do wynagrodzenia za wszystko, czem gospodarstwo swoje trwale ulepszył, a nadto właściciel musi mu dać, do pewne-

go *maximum* ograniczone, wynagrodzenie za turbacją t. j. odjęcie posiadłości. Państwo udziela zapomóg na zakup i karczunek gruntów, a niedowierzając ekonomicznej energii ludu, dla zaradzenia proletaryatowi, ułatwia wychodźstwo do Ameryki. Osobna magistratura sądowa rozstrzyga spory. W uciążliwym podatku na biednych prawo wprowadza znaczne ulgi dla drobnych dzierżawców. Bill, w tych głównych rysach zawarty, Izba Niższa przyjęła w d. 23 Maja, a w kilka tygodni później królowa nadała mu moc obowiązującą.

Nadzieje, jakie pokładano w nowym *Landlord and Tenant-Act*, były przesadzone; położenie rolników niewiele się po r. 1870 polepszyło. Stosunek narodu słabszego do silniejszego był ciągle tak naprężonym, że prawne ograniczenie swobód stało się w Irlandyi stanem chronicznym; jednocześnie z billem gruntowym wniósł Gladstone w Marcu projekt do „Prawa zabezpieczającego spokojność publiczną“. Przez to prawo rząd, niepotrzebując już zawieszać aktu z r. 1879, otrzymał możność składania sądów wyjątkowych z pominięciem przysięgłych, ułatwiania im procedury, wynagradzania poszkodowanych, obostrzania dozoru policyjnego, zawieszania dzienników, ograniczania swobody w używaniu broni; postanowiono też w prawie, że wszystkie szynki mają być o zachodzie słońca zamykane. D. 26 Marca bill był już uchwalony i zaczęto ustalać spokojność, wspierając jeszcze działalność administracyi amnestją dla Fenianów, powtórzoną w roku następnym; najmocniej tylko obciążonych zatrzymano w więzieniu. Nowe jednakże czyny dostarczyły nowych więźniów i przez lata następne nie ustawały meetingi, to w Londynie, to w wielkich miastach Irlandyi, dopominające się wypuszczenia uwięzionych na wolność. Parlament odmawiał łaski i dopiero na początku roku 1878 rząd sam rzekł się kłopotliwych depozytów.

Wszystko to nie zapobiegło złemu. Niepokój podawnemu panował; uchwalone środki działały tylko powierzchownie, nie sięgały do głębi, gdzie właśnie tkwiło złe. Irlandya przyczyniała Anglikom kłopotu nawet w polityce zagranicznej. Wielki meeting w Dublinie, jeszcze przed wybuchem wojny francuzko-niemieckiej, wypowiedział sympatyę dla narodu francuzkiego, apostoła i ordownika wolności, a uczynił to w chwili, kiedy gabinet liberalny wysłizgiwał się jak wąż, aby nie narazić się stronie jednej, nie urazić drugiej, a dla żadnej nic nie zrobić. Podczas wojny wielu ochotników z Irlandyi stawiało się pod chorągwie francuzkie; do utworzenia z nich wszakże osobnej brygady irlandzkiej (zapewne wskutek przełożeń z Londynu) nie przyszło. Walka w obronie Francyi miała być zapłatą za przeszłość i zadatkiem na przyszłość: nie mogą się Irlandczycy wyrzec myśli o pomocy francuzki.

Rok 1871 nie przedstawia żadnych ważniejszych uchwał parlamentu dla Irlandyi. Wydane w roku poprzednim prawo o utrzymaniu pokoju nie wystarczyło ani do odparcia napadu fenianского na arsenał w Mallow pod Cork, z którego zabrano 150 karabinów (d. 19 Czerw.), ani do zapewnienia powagi rządowi na wielkim meetingu wrzesniowym za Fenianami trzyzanymi w więzieniu; na meetingu tym pokaleczono sromotnie i pozabijano rządowi policyantów. Takie czyny gwałtowne, któreby w każdym innym zgromadzeniu prawodawczem, przy podobnych warunkach, obudziły nienawiść, parlamentowi angielskiemu nie wyrwały żadnego przesładowczego rozporządzenia; przeciwnie, pod wpływem wprowadzanej wówczas w samej Anglii reformy oświecenia publicznego¹⁾, wniesiono na początku roku 1872 bil o otwarciu uniwersytetów irlandzkich, do owego czasu ściśle wyznaniowych, dla ogółu ludności kraju. W Sierpniu tegoż roku krwawe rozruchy w Belfast (na Wniebowzięcie) skłoniły parlament do wydania nowych praw wyjątkowych. Koniec tego roku i cały rok następny zakłóciło wiechrzenie duchowieństwa katolickiego, opierającego się bardzo łagodnym przepisom wydanym dla zarządów szkolnych.

1) Od 1872 roku nauka w Anglii jest obowiązkową.

W r. 1873 działalność parlamentu ożywiła się. Dnia 30 Czerwca, wierny zasadam swoim, John Russell wniósł projekt „poprawienia rządu w Irlandyi“. Takie radykalne sformułowanie potrzeb prawodawczych nieszczęśliwego kraju przestraszyło nawet zycziwych: wniosek, poza którym widziano już samoistny parlament irlandzki, a może i państwo osobistą jedynie unią połączone z Wielką Brytanią, upadł. W kilka miesięcy później, John Bright, przechodząc już do szczegółów, wymownie powstał przeciwko systematowi oświaty w Irlandyi. Było to już po odrzuceniu billu rządowego o uniwersytecie dublińskim, po spełnieniu billu Faweetta, wyłączającego wyznaniowość ze szkół, i po oświadczeniu kommissy nad szkołami postawionej, że cenzury duchowne nie mają mocy w stosunkach szkolnych. Wystąpienie znakomitego myśliciela politycznego miało usmierzyć wzburzenie w opinii i rzucić podstawę do trwałego ulepszenia na przyszłość. Żałować potrzeba, że parlament z przestrogi i rad Brighta nie skorzystał i sprawę ugruntowania i usystematyzowania oświaty w Irlandyi w zawieszeniu jeszcze na lat kilka pozostawił.

W roku 1874 upadł, od roku już chwiejący się skutkiem spraw irlandzkich, gabinet Gladstone'a; w Lutym przyszli do władzy zachowawcy, z Dizraelem naczele. Irlandya utraciła w rządzie angielskim przyjaciela, człowieka, którego humanitarny umysł rozsuwał ciasne zapory pseudo-narodowego sobkownstwa. W bardzo niepomysłnych warunkach stawał w Czerwcu 1874 r. Butt, jeden z przewodzców Ligi Własnego Rządu (*Home-rule*), wniosek swój „o przywrócenie parlamentu irlandzkiego“. Prawnemu doradcy państwa nie trudno było przekonać Gminy, że, przywracając parlament w Irlandyi, Anglia samej sobie największą wyrządziłaby krzywdę; zdaniem mówcy, urzędownie do złożenia opinii zawezwanego, parlament w Dublinie i dla samych Irlandczyków byłby zbytecznym: wniosek zatem, szkodliwy dla jejnych, niepotrzebny dla drugich, powinien być odrzuconym. Odrzuciła go też, d. 2 Lipca, Izba Niższa, a głosowanie przekonało Home-rulerów, że tylko na samych siebie liczyć powinni, ilekroć chcą dawną niezależność parlamentarną odzyskać: przeciwko 458 głosom odrzucającym zdołali postawić Irlandczycy tylko swoje własne, w liczbie 61.

Po 28-leciach wygnania powrócił z Ameryki, dokąd był uciekł z miejsca kary angielskiej w Australii, Mitchell, niegdys piorunujący wydawca *Irishmana*. Patryoci w kraju przeprowadzili zaraz w Lutym 1875 wybór jego do parlamentu; ten jednak, z powodu ubezwłasnowolnienia obranego, przyjęł go w poczet członków swoich nie chciał. Późniejszy wybór w Tipperary nie wywołał nowych zakłóceń tylko z powodu śmierci zastarzałego rewolucjonisty. Parlament zresztą nie rządził się nienawiścią, choć dalekim był jeszcze i dzisiaj jest, od prawdziwie ludzkiej, sprawiedliwej, opiekuńczej polityki względem Irlandyi. Ponieważ lata 1873 i 4 stosunkowo spokojnie jeszcze upływały, uznano więc za możebne wprowadzenie ulg do prawa gladstonowskiego o utrzymaniu pokoju, i wprowadzono je w Maju. Bezpośrednio skorzystał z tego wspaniały obchód stuletniej rocznicy narodzin O'Connella (d. 6 Sierpnia 1775 r.), wielkiego charakterem, czynem i walką dla ojczyzny, w Sierpniu odbyty. To święto irlandzkie było świętem dla całego świata: na niższym stopniu wszystkie narody, wszystkie postępowe, dla ludzkości i idei otwarte umysły, serdecznem współczuciem połączyły się z Irlandczykami.

Ministerium Dizraelego niewiele uczyniło dla Irlandyi; ale nie było zupełnie beczynnem. Rozpoczęte w rok właśnie po objęciu władzy przez *Tories* (Luty 1874 r.) widowisko wojenne na Wschodzie odwracało uwagę od spraw wewnętrznych. W kraju panował spokój, panowało to przynajmniej, co w Irlandyi z konieczności spokojem nazywać potrzeba. W kronice 1876 r. zapisujemy nowy wniosek Butta o parlament i pomocnicze, w duchu powyższej mocyi Russella wniesione, żądanie: aby wyznaczycie kommissją do zbadania wad ustroju państwowego i zarządu w Irlandyi. Oczywiście, oba te wnioski odrzucono. Gorsząca walka w Limerick, o której wspomnieliśmy już

wyżej, nowe rozruchy w Belfast, stereotypowo na Wniebowzięcie powtarzające się, przeminęły, i bez głębszego wrażenia, i bez politycznych następstw. W r. 1877 rząd z własnej woli i uznania przeprowadził przez parlament ustawę sądową, ulepszącą znacznie doówczesny porządek. Dnia 24 Kwietnia Home-rulerzy ponowili swój wniosek o parlament irlandzki; Izba Gmin ponowiła swoją odmowę. Głosowanie przekonało o lekkim przyroście sił irlandzkich w parlamencie: za wnioskiem Skawa oświadczyło się 67, przeciwko niemu 417. W roku 1878 parlament londyński z własnego początku wprowadził bardzo potrzebny przepis, nakazujący zamykanie szynków irlandzkich w Niedzielę. W tym samym roku d. 16 Lipca przyjęto nareszcie w Izbie Niższej jednomyślnie bill o podniesieniu oświaty, przed laty pięciu bezskutecznie przez Bright'a broniony. Bill zaprowadził systemat, z którego Irlandczycy powinni być zadowolonymi, mogliby tylko utyskiwać na nakłady potrzebne, na ciężary, ale bez ciężarów niczego mieć nie można na świecie, a najłżejszym ciężarem jest zawsze wydatek poniesiony na oświatę. Uczynienie szkół żarliwie-religijnymi, ultramontańskimi, byłoby postawieniem obok siebie i przeciwko sobie dwóch rzeczy, któreby się wzajemnie znosiły. O wiarę Irlandczyków można już być spokojnym: czas zając się ich oświatą.

(Dokończenie nastąpi).

ODCZYT P. DYGASIŃSKIEGO

O METODZIE POGLĄDOWEJ

Z końcem roku szkolnego p. Dygasiński zamknął seryą swoich odczytów w zakładzie p. Mleczkowej o metodzie poglądowej; powołując się na nasze sprawozdania w N-rach 18 i 23 „Bluszczu“, pośpieszamy z relacją z trzech końcowych odczytów: X. O powietrzu, XI. O zwierzętach w ogólności, XII. O wodzie.

Pierwsze cztery wykłady p. Dygasińskiego były, jak sobie łaskawi czytelnicy przypominają, teoretycznej natury, następne ośm — praktycznej, stanowiąc lekcje wzorowe, czyli, jak je prelegent nazwał, przykładowe. Porównyując choćby tytuły tych ośmiu lekcji, znajdziemy, że prelegent nie powodował się metodycznym planem w ich doborze, nie stworzył z nich całości, mającej wyczerpywać, lub przynajmniej grupować, materiał na nauczanie poglądowe takiego lub innego stopnia i zakresu, odpowiednio do wieku wychowanka: przeciwnie, brał treść różnolitą z zakresu nauk przyrodzonych, potrącając o Zoologię, Anatomię, Botanikę, Mineralogię, Fizykę, Meteorologię; nie mogła się ona nawet zmieścić w ramach dwuletniego kursu nauki poglądowej, nakreślonych w założeniu przez Prelegenta; wykład n. p. *O zwierzętach w ogólności*, gdzie się mówi o pożytkach ze zwierząt, szkodach, o pożywieniu zwierząt, zamieszkanii, wędrówkach, klasyfikacji i t. p.; gdzie się odróżnia cechy i naturę różnych działów, rzedów, rodzin, rodzajów i gatunków, gdzie się gospodaruje w całym państwie Fauny z taką pewnością i swobodą, jak we własnej kieszeni, powinienby się mieścić, podług własnych słów Autora, w 3-im roku nauki poglądowej, a mybyśmy dodali, że i to zawczasie, — powinienby się mieścić w końcu kursu Zoologii, kiedy już uczniowie posiadają taki zasób wiadomości z tej

nauki, że będą mogli zawładnąć niemi, grupować je, szeregować, podporządkowywać; inaczej będzie to za panią matką pacierz, zejdzcie się do nauki wyrazów, nie rzeczy, na co się szanowny Autor niejednokrotnie a słusznie bardzo, w wykładach swoich oburzał; równocześnie jednak przestanie być nauką poglądową i będzie poglądowym wykładem Zoologii. Toż samo dałoby się powiedzieć o *wodzie*, który to wykład Autor podał w dwóch stopniach: dla niższego i wyższego oddziału; ten ostatni wkracza już w zakres nauki szkolnej. Co zaś do *powietrza*, to sam autor przyznał trudności w poglądowym wykładzie tej treści: dzieci mniej rozwinięte, mimo starannie nagromadzonych przez szanownego Prelegenta dowodów na obecność i „wszędobytność“ powietrza, nie zdadzą sobie z wykładu tak jasnej sprawy, jak ją sobie zdawały z wykładów o ciałach stałych, jakby ją zdać sobie mogły z wykładu o ciałach lotnych, na zmysły działających, jak n. p. para lub gaz do palenia. Kwestye temperatury, termometrów i barometrów, wiatrów, morza i okrętów: są to wszystko rzeczy, albo zamało dostępne pojęciu dzieci, albo zbyt oddalone, aby się dały w *poglądowy* sposób pojąć i przyswoić: i oto znowu wpaść możemy w nieszczesną naukę wyrazów.

Pojmujemy dobrze intencją szanownego Prelegenta: chciał on pokazać jak bogaty i wdzięczny znajdujemy materiał do nauki poglądowej w naukach przyrodzonych, wybrał przedmioty różnorodne, aby pokazać, jak sobie może i powinien nauczyciel w każdym razie radzić. Dowiódł znajomości rzeczy, zamiłowania przedmiotu, przekonał, że jest osobna nauka i sztuka zarazem, której się z natchnienia ani przez omakiem idącą praktykę nie nabywa, jak większość naszego ogółu sądzi: jestto sztuka nauczania. „Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty“. Przyznajemy zasługę panu Dygasińskiemu: pokazał jak się powinna traktować nauka poglądowa, dał wskazówki, punkta wytyczne na tem polu. Bądźco bądź, jestto rzecz, jak na nasze przynajmniej siły nauczycielskie, położona: z uwagi, że niema u nas żadnej szkoły nauczycielskiej dla kobiet, że nauczaniem początkowym zajmują się zwykle ludzie młodzi lub średniego wykształcenia, potrzeba nam wskazówek bliższych, informacji dokładniejszych; potrzeba nam dobrej książki, metodycznie wyczerpującej nauczanie poglądowe na najniższym jego stopniu, w peryodzie wychowania domowego, przedszkolnym, mniej więcej w 6, 7, 8 roku wychowanka. Potrzeba nam książki, w którejby każda matka, ojciec, nauczycielka lub nauczyciel początkujący doraznie znaleźli informacje, bez długich studyów przygotowawczych, które zawsze odkładamy na potem, a tymczasem zadajemy dziecku lekcje i każemy je recytować, bo to nas najmniej trudu kosztuje, — mechanizm idzie dalej. Cóż z tego że będziemy mieli pojęcie ogólne: jak wygląda nauczanie poglądowe, jakby się trzeba do niego przygotować i jakby je poprowadzić? Potrzebujemy wiedzieć, jakie ono jest, potrzebujemy posiadać materiał i metodę i niemi operować. To da się zrobić na początek w małym zakresie, na pierwszym stopniu; a właśnie najpilniejszą i najkonieczniejszą to jest rzeczą na pierwszym stopniu nauki dziecka, zanim się z niem rozpocznie nauka systematyczna. Odczyty o metodzie poglądowej były rzeczą bardzo potrzebną i pożyteczną; teraz pożądanę-by były wykłady wzorowe, poprostu nauka wzorowa małych dzieci wobec słuchaczy, coś w tym guście, jak robiła p. Pape-Carpantier wobec zjazdu nauczycieli w czasie wystawy paryzkiej w r. 1867. Matki, ojcowie i wszyscy sposobniący się do zajęć nauczycielskich, odnieśli-by ztąd doraźną korzyść; jesteśmy przekonani, że

i zainteresowanie się temi wykładami byłoby bez porównania większem.

Rozstając się z p. Dygasińskim, życząc mu dalszej pożytecznej a zaszczytnej pracy na zarosłem chwastami u nas polu pedagogicznem, musimy zaznaczyć dwie uwagi. Pierwsza jest mniejszej wagi, dotyczy strony formalnej, języka Prelegenta; niema tam błędów ani zaniedbania, są tylko pewne właściwości w zwrotach, wyrazach i wymawianiu; autor n. p. trzyma się Zoologii galicyjskiego profesora Max. Nowickiego, która ma niezaprzeczone zalety metodyczne, ale ma też odrębności a nawet dziwactwa w terminologii, ztąd nawet zamieszanie w nazwach niektórych, ztąd też wyszedł ów kałdun, o którym wyżej wspominaliśmy, ztąd ssaki, drapieżce i inne osobliwości. Druga uwaga jest nierównie ważniejszą: Autor uparcie ignorował, wymijał wszystko to, co się z moralnością, z religią łączy. Na taki wykład nauki poglądowej żadna matka, w naszym przynajmniej kraju, w naszych warunkach, zgodzić się nie może. Dlaczego mamy wymijać pierwiastek religijny, kiedy na każdym kroku nauki poglądowej zważamy o niego: gdy rozpatrujemy rzeczy sztuczne, wyroby ręki ludzkiej, podziwiamy ich piękność i subtelną budowę, mówimy o materialnych, z którego powstały, o rzemieślniku i artyście, który je wykonał; gdy rozpatrujemy rzeczy naturalne, stworzone, gdy podziwiamy piękność kwiatu, grozę burzy lub majestat i cudowność stropu niebieskiego, czyż mamy zamilczeć o Twórcy nieznanym, niepojętym? Już ksiądz Michał Dymitr Krajewski w dziełku p. t.: *Gry nauk dla dzieci, służące do ułatwienia edukacji*, wydanem w r. 1777, w poglądowy sposób daje pierwsze pojęcie o Bogu. P. Dygasiński, wierny swemu założeniu, wyrzuci piękny wierszyk Jachowicza: „Poznanie Boga“ (Co tu rybek w tej wodzie, co motylków w ogrodzie!).

Znamy w naszej literaturze jedyne w swoim rodzaju dzieło, rozwijające pojęcia dziecka, stopniujące je coraz wyżej aż do Najwyższej Istoty, zawierające naukę poglądową w duchu religii i moralności, opartą na rzeczach i zjawiskach otaczających. Jestto *Sposób wykładu nauki religii i moralności dla głuchoniemych* (Warszawa 1874). Część pierwszą tego dzieła śmiało polecić możemy wszystkim matkom i duchownym bez względu na wyznanie.

Władysław Nowicki.

Sprostowanie.

W Nr 27 *Bluszczu*, w artykule: *W miejsce pogawędki*, na stronicy 210, w łamie drugim, wierszu piątym od góry, zamiast: „guldenów“ czytać: należy: „rubli“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tyt.: *Róża wśród cierni*.

Ogłoszenia do BLUSZCZU, przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Swiat Nr 67.

TREŚĆ. Przekłady z antologii greckiej (Mimnermos, Alkmanos), (poezya), przez Alf. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. Życie pod zwrotnikiem, przez Sygurdę Wiśniowskiego. — Preludium Szopena, Obrazek dramatyczny, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Irlandya, Rys jej dziejów, (dalszy ciąg). — O metodzie poglądowej (Odczyt), przez Władysława Nowickiego.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 30 Іюня 1881 года.

RÓŻA WŚRÓD CIERNI

POWIEŚĆ

przez autorkę „Stefana Lawrence“

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

— I cóż z tego? Czy kocham, czy nie kocham męża, on niemniej powinien tu być, aby myśleć o moich wygodach zawołała! Floryna. A przytem jakie nudy? Zamiast być panią pięknej baronii angielskiej jestem tu uwięziona. Jedyńą miłą mi rzeczą, byłby list, wzywający do Clydesdale.

— Może dziś przyjsz — odrzekła Lady Leestone, widząc pokojówkę wchodzącą z listami. — Patrz Floryno sześć listów! Trzy do mnie, trzy do ciebie.

— Otwórz moje i przeczytaj. Jestem pewna że zawierają same złe nowiny.

Lady Leestone spoważniała przejrzaawszy listy. Jeden z nich widocznie odbył długą podróż.

— Od twego męża z Ameryki, Floryno, — rzekła.

— Tak? — odparła obojętnie Lady Clyde. — Zapewne jest pełen nieszczęśliwych przygód. Przeczytaj go, Klaro.

— Ale to nie wszystko jest pisane jego ręką — rzekła nagle Klara — a przecie jest z Ameryki...

— Klaro, może zadzwonisz o limonadę z lodem? Zostaw ten list z Ameryki, później go przeczytasz.

Mechanicznie Klara zadzwoniła na służącą i wydała rozkazy co do limonady. Zaniepokojo- na była tym listem z Ameryki, adresowanym nieznajomą ręką.

— Mówiłam tyle razy, aby dla mnie zawsze gotowa była limonada. Tak zawsze dokucza mi pragnienie.

— Oto jest, Floryno, nie czekałaś długo — rzekła Lady Leestone. Wzięła bursztynowy napój do kryształowego kubka i wpuściła w to parę kawałków lodu.

— Patrz Floryno jak ponętnie wygląda — do- dała — pij, a ja tymczasem przeczytam listy.

— Uwolnij mnie od nich, nie dobrze się czuję, Klaro. Pozwól mi spocząć. Daj mi tę książkę, niema nic lepszego na pociechę, jak dobra powieść.

Odwrociła się od światła, podczas gdy Klara czytała list pisany w lesie Camargo. Rumieńce znikły z jej twarzy a oczy napełniły się łzami. Nie odezwała się wcale, i doszedłszy do słów „Umarł o zachodzie słońca“... położyła list i siedziała zapatrzona na zielone liście i purpurowe kwiaty, szafirowe niebo i złote słońce.

Przyszła jej na pamięć piękna, ogorzała twarz Ruperta, taka, jaką była, gdy pierwszy raz go ujrzała. Była dumną, światową kobietą, zimnego serca i nadmiernie wyniosłą, ale w tej chwili serce jej zmiękło.

— Oszukał i zawiedlił go — wyszeptala; godzien był lepszego losu...

Wtedy pomyślała o zmianie, jaką jego śmierć sprawi w losie Floryny. Małe, ledwie szczebio- czące dziecko, zostanie sir Alfredem Clyde, jej siostrą, panią na Clydesdale, aż do pełnoletności syna. Spojrzała na malca, który ojca znać nie będzie, na wdowę nieświadomą swego losu i serce jej się ścisnęło. Wstała i zbliżyła się do siostry. — Jak ma jej powiedzieć, że ten niekochany, nie nawidzony mąż nie żyje?

Francuzki romans wypadł z ubrylantowanej

ręki Floryny, limonada stała prawie nietknięta. Lady Clyde, znużona gorącem i ciężarem swoich smartwień, wpadła w w głęboki sen, a starsza sio- stra nie śmiała jej obudzić.

Po chwili Floryna otworzyła oczy i krzyknęła. — Czego stoisz nademną, Klaro; dla czego tak dziwnie na mnie patrzysz?

Lady Leestone ukłękła przy siostrze, mówiąc. — Muszę ci coś powiedzieć, Floryno, posłuchaj.

Lady Clyde spojrziała nagle na siostrę.

— Klaro, bądź ostrożna — rzekła — wiesz jak łatwo mnie przestraszyć. Dla czego mówisz tak uroczyście? co się stało? czy Alfred chory?

Choć jej powiedziano, że przyszedł list z Ame- ryki, nie pomyślała o mężu.

— Nie, dziecko jest zdrowe, spojrzaj na nie. Ale czy nie masz nikogo na świecie prócz dziecka? — spytała Lady Leestone. — Floryno! czy ty nie masz serca?

— Nie mówiłabyś tego, gdyby twoje biło tak gwałtownie, jak moje w tej chwili — odrzekła Flo- ryna. — Co się stało, Klaro? wyglądasz tak wzru- szona i poważna zarazem.

— Mam ci powiedzieć coś, co mnie bardzo dot- knęło, Floryno. Mówiłaś że pragniesz jedynie listu powołującego cię do Clydesdale. W pew- nem znaczeniu taki list przyszedł.

Floryna klasnęła w ręce z radosnym okrzykiem.

— Cicho! — zawołała Lady Leestone, podno- sząc rękę — nie powiedziałam ci Floryno, że list pochodzi od twego męża. Jest jednak z Ameryki, lecz tylko w części napisany przez niego. Koniec kto inny dopisał. — Biedny Rupert!

— Czy chory? — spytała Lady Clyde. — Bar- dzo mnie to martwi, ale po co tam jechał? Mó- wiłam mu, że zachoruje, nie był zdrow, gdy od- jeżdżał. — Dla czego nie mówisz mi co mu jest, Klaro? Dla czego tak patrzysz na mnie?

— Moja droga Floryno, tu zaszła rzecz gorsza, niż choroba. Listu dokończył Donald Rancorn.

Lady Clyde zbladła, a Klara wzięła w objęcia jej szczupłą, jak gdyby dziewczęcą postać.

— Moja droga, — rzekła — jesteś bardzo mło- dą, a masz do zniesienia cios wielki. Nie kocha- łaś męża, ale niemniej ta wiadomość cię dotknie. Musisz być na to przygotowana, że już, już nie jesteś z nim związana, Floryno — nie żyje bie- dak...

Nastąpiła chwila milczenia, potem Floryna wpa- dła w spazmatyczny płacz.

— Kochałam go — wołała. — Jak możesz mó- wić, że nie kochała? Oh! nie wierzę, żeby umarł!

Lady Leestone siedziała przy niej w milczeniu, aż spazmatyczny wybuch łez, narzekań i wykrzy- ków sam się wyczerpał. Innym razem nie byłaby tak cierpliwa, ale nie była to prosta chwila kapry- sów. Smuciła ją myśl, że siostra tak wcześniej owdowiała.

— Nie chcę wierzyć, że Rupert umarł — po- wtarzała Floryna, Lady Leestone podała jej list.

— Tak, to jego pismo — rzekła Lady Clyde — spojrzawszy na list.

Wtedy siostra przeczytała jej co napisał Donald.

— Czy znasz pismo Rancorna, — spytała Flo- ryno.

— Tak, to jego ręka. Znam ją dobrze, bo czę- sto pisywał do Ruperta. Przeczytaj raz jeszcze, co pisze, Klaro.

Lady Leestone przeczytała.

— Biedny Rupert! — rzekła Floryna żałośnie. Jak nierozsądnie postąpił wyjeżdżając z Donal- dem Rancorn. — O synku! synku! już nie masz tatki!

Gorzko płakała jeszcze chwil kilka, a potem za- częła szybko chodzić po pokoju.

— A więc jestem wdową, Klaro — rzekła. — Jak to dziwnie wygląda; mam dopiero dwadzie- ścia dwa lat.

— Znałam młodsze wdowy — odrzekła Klara.

— Nigdy się tego nie spodziewałam, nie moge ci powiedzieć, jak mi się to dziwnem zdaje. Klaro, czy ja muszę nosić wdowi czepek, jak myślisz?

— Naturalnie że musisz — odrzekła sucho La- dy Leestone. — Dla czegożbyś miała być wyją- tkiem? Każda wdowa, nosi wdowi czepek.

— Ale ja mam dopiero dwadzieścia dwa lat — westchnęła Floryna.

— Nie jest to kwestja lat, ale obyczaju rodzinnego — rzekła Klara.

— Jestem pewną, że gdyby tu była ciotka Sabi- ne, nie dałaby mi go nosić. Słyszałam ją często mówiącą, jak bezużyteczne i nie do twarzy są te czepek żałobne.

— Musisz w obec śmierci uszanować ten nakaz, Floryno. Jestem pewną że i ciotka Sabine wy- magałaby tego.

— Czepek wdowi! — westchnęła Floryna. — Zawsze nie cierpiałam tej brzydkiej koafiu- ry... Jeżeli mam go już nosić, niech będzie przynajmniej jak najgustowniejszy.

Zasunęła się w fotel.

— Jestem pewna że mi serce pęknie! Tak mło- do zostać wdową!

— Pomyśl o sir Rupercie — odparła Lady Leestone. On też był młody, umierając.

— Tak. Biedny Rupert. Mógłby być żyć je- szcze długo, gdyby więcej dbał o mnie. Dla cze- go mnie nie zawiózł do Clydesdale i nie żył w swoich dobrach, jak wszyscy robią?

— Już zapóźno myśleć o tem, Floryno; niech przeszłość będzie zapomniana. Jeżeli była w życiu jego tajemnica, dowiemy się o niej w Anglii.

— Wiem że mi serce pęknie — rzekła Floryna — Klaro jestem zupełnie zziębnięta.

Lady Leestone zadzwoniła i rzekła do służącej.

— Przynies wina, bo Lady Clyde jest nie- dobrze. Ja też napilabym się trochę, bo wstrzą- śnienie było za silne dla mnie.

Służąca wypełniła rozkaz.

Przez cały dzień Floryna odbierała kondolen- cyjne wizyty przyjaciółek, które ją na wszystkie sposoby starały się pocieszać. Sir Rupert zmy- śłem proroczym opisał tę scenę. — Słońce już za- chodziło, łagodny wietrzyk przynosił do pokoju miłą woń kwiatów, a Lady Clyde ciągle siedziała w pokoju, gdzie ją list zastał, zastanawiając się nad swoją przyszłością. Story zostały pospu- szczane i dom przybrał pozór smutku. Sir John Leestone przysłał z Lahory zapytanie, czy wieś może być uważana za prawdziwą, i żona od- powiedając mu nie mogła leż powstrzymać. Ale Lady Clyde prawie zapomniła o smutnych okoli- cznościach śmierci sir Ruperta. Jej umysł zaję- ty był żalobnym ubiorem.

— Musisz myśleć za mnie, Klaro — rzekła.

— Wszystko to dobrze coś mi mówiła o obyca- ju rodzinnym, ale ja nie mogę uleż mu jak inni. Wiesz, jak cierpię w czasie gorąca; nawet ta lek- ka koronka mi dolega. Cóż zrobię z krepą, cięż- ką, czarną krepą? Będę szkaradnie w niej wy- glądać.

— Zawsze jesteś ładną, Floryno.

— A ty uprzejmą, Klaro. Sądzę jednak, że na czas jakiś muszę się poddać przymusowi. Niechże więc będzie krepą, ale jak najłżejsza. Gdy jesteśmy w najcięższym smutku, należy nam właśnie ładnie wyglądać przez wzgląd na naszych przyjaciół.

— Oszczędź mi tych błachostek, Floryno — rze- kła siostra.

Scena następująca była litości godną parodią miłości i smutku. Floryna przerzucała przynie- sione jej drobiazgi, które mogła użyć do żałoby, ocierając co moment oczy.

— Biedny Rupert — mówiła — nigdy nie my- ślałam nosić po nim żałoby! Co za smutna śmierć, umrzeć samotnie jak wygnaniec! Klaro, czy my-

ślisz, że będę dużo starszej wyglądać w czarnej krepie?

I bardzo się pocieszyła gdy jej siostra odpowiedziała przecząco.

W parę dni znikł smutek, a Floryna o niczem myśleć i mówić nie mogła tylko o radości i tryumfie zawiezienia małego dziedzica do Clydesdale. — Sir Rupert nie popełnił też grzechu wiarolomstwa, jeżeli tęsknoty jego serca zwracały się ku innej kobiecie — ku tej jasnowłosej postaci, którą pożegnał wśród lilijowców.

ROZDZIAŁ IV.

Clydesdale było w dzień i w nocy przedmiotem rozmyślań Floryny. Wystawiała sobie że jej przybycie będzie tryumfem. Przyjechać do domu jako żona sir Ruperta, było rzeczą przyjemną w pewny sposób; ale główne honory dostawały by się mężowi. Jej rola byłaby podrzędna, a to nie mogła zadowolnić tej próżnej, ładnej osobki. Położenie jej jako matki dziedzica będzie zupełnie inne; cała władza będzie w jej ręku. W każdej rzeczy będzie działać za syna. Ona, tak długo trzymana w Indyach pomimo woli, teraz wkrótce miała objąć w posiadanie wspaniałą rezydencję, do której tak dawno wydychała. Serce jej było żywiej na samą myśl wyjazdu.

Stała się teraz bardziej wymagającą i grymasną, przybierała tony, które gniewały Lady Leestone.

— Moje stanowisko jest inne, jak było — mówiła. — Próżno chcesz mi pokazywać wyższość, Klaro. Choć jesteś starszą, pamiętaj że jestem panią na Clydesdale.

Wymagała ciągłych atencji i pochlebstw, a myśli jej nie opuszczały Clydesdale.

— Klaro, jakie też będzie moje przyjęcie? — pytała. Jedną rzecz stanowczo już ułożyłam. Muszę przyjechać do Clydesdale na wiosnę, choćby morze było najgorsze, choćbym miała ucierpieć w podróży. Czy wiesz dla czego?

— Nie silę się nigdy nad zgadywaniem dziwnych powodów twojego postępowania — rzekła Lady Leestone.

— Chcę się przyjemnie przedstawić i mile wyrzyc w pamięci ludu z Clydesdale — odrzekła Floryna. — Chcę aby wspomnienie łączyło mnie z kwiatami i słońcem, a nie z mrozem i śniegiem, burzą i szarugą.

— Moja droga, co to będzie obchodzić ludność tamtejszą. Jesteś obcą dla nich.

— O, to ich bardzo obejdzie. Klaro. Czuję się jakgdyby królową, jadącą objąć w posiadanie państwo swoje.

— Ach Floryno! — rzekła Klara — chciałabym cię widzieć rozsądniejszą.

Lady Clyde patrzyła w zwierciadło.

— Nie wyglądam na mężatkę, ani w ogóle na kobietę, która przeszła tyle zmartwienia. Czy nieprawda Klaro? zapytała.

— Jeszcze nie czułaś prawdziwego zmartwienia — odparła Klara. — Życie twoje było bardzo szczęśliwe Floryno.

— Nie masz wcale dla mnie współczucia Klaro! Wystaw sobie, co to jest być wdową w moim wieku?

— Mogłabym odpowiedzieć, ale nie chcę — rzekła Lady Leestone. — Mam nadzieję że nabędziesz trochę zdrowego rozsądku, nim pojedziesz do Anglii, inaczej przyjaciele sir Ruperta zadziwią się jego wyborowi.

Lady Clyde nie chciała podnosić uwag siostry; w tej chwili właśnie pracowicie badała swoją ładną twarzyczkę. Nagle rzekła.

— Karolek Archer powiada, że wyglądam młodziej, niż gdy byłam mężatką.

— Kiedy i gdzie widziałas Karola Archer? — spytała Lady Leestone, marszcząc brwi.

— Był tu wczoraj, kiedy ciebie nie było w do-

mu — rzekła Floryna obojętnie. — Bardzo mi było przyjemnie widzieć go. Zawsze lubiłam Karolka; zdaje się że on jeden umie mnie pojmosferać. Nie zadziwi mnie to wcale, jeżeli pojedzie za mną do Anglii — mówił mi, że musi w przyszłym roku wziąć urlop. Powiedziałam mu, że jeżeli będzie w Anglii, będziemy uszczęśliwione, witając go w Clydesdale.

— Czy tak? — rzekła sucho Lady Leestone. Musiało mu to pochlebić.

— Zdawał się bardzo zadowolony. Mam nadzieję że przyjedzie — zauważyła Floryna z westchnieniem. — Nigdy nie zapominam starych przyjaciół, a Karolka Archer liczyłam zawsze do najmilszych mi.

— Nie lubię go, — rzekła zimno Lady Leestone.

— Nie lubisz? Myślę że biedak nie zamartwi się tem na śmierć. Ale Klaro, — mamy bardzo ważną kwestję do załatwienia. — Czy chcesz mi towarzyszyć do Anglii?

W słabym umyśle Floryny zaczęła kiełkować myśl, że tryumf jej nie będzie zupełnym, jeżeli nie będzie miał świadków. W głębi serca zawsze zazdrościła Lady Leestone jej szlachetniejszej piękności i wyższego charakteru, wpływu jaki wywierała w towarzystwie. Klara zachowywała zawsze względem niej ton protekcyjny i młodsza siostra uważała, że jest zarozumiałą. Więc też zapragnęła, aby świadkiem jej zaszczytów była Lady Leestone, chciała jej pokazać jakim to jest właściwe położenie Lady Clyde.

— Klaro, — rzekła też — zadzwoni na Dezyderyę. — Podczas gdy mnie będzie cesać, pomówimy o naszej podróży.

Dezyderya przyszła ze szczotką w rękę. Była nawykłą do tego, że o każdej porze dnia szczotkowała włosy swej grymasnej pani. Lady Clyde usiadła na niskim krześle przed lustrem, a Dezyderya rozplątała jej przesliczne, ciemne włosy.

— Mówmy o podróży — rzekła Floryna. — Chciałabym, abyś ze mną jechała, Klaro. Nie jestem zbyt silnego ducha, a tam będzie wiele rzeczy nieprzyjemnych: — na przykład, muszę widzieć tego Adryana Clyde i jego żonę Eleonorę. Może nie zechcę ustąpić z domu.

— Tego nie zrobią, bo Clydesdale należy do sir Alfreda Clydesdale.

— Nie rozumiesz mnie. Mogą chcieć zamieszkać z nami, albo objąć zarząd dóbr, a ja tego sobie nie życzę. Pragnę być jedyną, samowładną panią, jak to mi się należy. Jeżeli ty będziesz ze mną, oszczędzisz mi tych przykrości.

— Pojadę chętnie, jeżeli sir John na to pozwoli, ale sądzę że umiesz i ty postawić na swoim.

— Tak, — rzekła Floryna — umiem postawić na swoim z mężczyznami, ale kobiet się boję. Będę prawdziwie rada, jeżeli ze mną pojedziesz, ale nie zaraz jeszcze: muszę skończyć żałobę tutaj. Wszak prawda, że to dobrze obmyśliłam?

Lady Leestone kiwnęła głową. — Mamy dość czasu do namysłu, jeżeli chcesz tu siedzieć jeszcze rok i sześć niedzieli — odparła niedbale.

— Dla czego tak patrzysz smutnie Dezyderyo? — dodała, zwracając się do służącej, — co się stało?

— Nic się nie stało, mylady — odparła pokojówka, tylko słyszałam panią Brunton mówiącą, że Fredzio nie jest zdrow. Pani się zna na dzieciach lepiej, niż lady Clyde i myślałam że może zechce pani zobaczyć go przed obiadem.

— Sir Alfred chory? — zawołała Floryna — dla czego mi pierwej o tem nie powiedziano?

Spiesznie wyrwała długie swe włosy z rąk służącej i zwinęła je w węzeł.

— Mój syn jest chory — zawołała, i nikt mi o tem nie powiedział! O Klaro! chodź ze mną! spiesz się. Daj pokój moim włosom, Dezyderyo! — Ale to nie ma nic nagłego, mylady — zauważyła służąca. Jakże pani tak wyjdzie z pokoju potargana? Czasem można kogo spotkać...

— Nie dbam o to, choćbym spotkała Generala Gubernatora z całym sztabem! — krzyknęła Floryna. — Mój syn, to moje życie! Chodź Klaro! oh chodź...

— Co się dzieje z sir Alfredem pani Brunton? — zawołała wkrótce, wchodząc do dziecinnego pokoju. Dla czego mnie pani nie zawiadomiłaś, jeżeli jest słaby?

Bona podniosła rękę, nakazując milczenie.

— Nie potrzeba było pani fatygować, mylady, — odrzekła. — Wiedziałam, że to panią tylko zaniepokoi, a dziecku nie pomoże. Niech tylko pani się uciszą, bo zasnął, a to jest dla niego najlepszym lekarstwem.

W milczeniu obie siostry zbliżyły się do łóżeczka, w którym spał młody dziedzic Clydesdale. Było to śliczne dziecko o ciemnej płci i regularnych rysach Clydów, a złoto kasztanowatych włosach matki, ale wydawał się warty i delikatny; niebieskie żyły wyraźnie odznaczały się na białych przezroczystych rączkach, wcale nie wyglądających na różowe piąstki zdrowego dziecka. Lady Clyde pochyliła się nad nim niespokojnie i poważnie spojrzęła na małą twarzyczkę. Lady Leestone posłuchała jak oddycha, potem spojrzęła na p. Brunton; ale nie mogła nic wyczytać z jej twarzy.

— Spokojny sen kilkogodzinny, pokrzepi go, szepnęła bona do Floryny. — Niech go pani nie rusza z łaski swojej, skoro się tylko obudzi, dam znać.

Cichutko obie siostry wymknęły się z pokoju i powróciły do sypialni Lady Clyde. Rumieńce i wesołość znikły z ładnej twarzy Floryny. Kochała syna, ale niewątpliwie kochała więcej dziedzica i to, co sływało ztąd na nią. Oparła się o kominek i spuściła głowę w postawie wyrażającej niepokój i boleść.

— Klaro — rzekła cicho — uczułam się wzruszoną silniej, niż wtedy, gdyś mi zwiastowała śmierć męża.

Lady Leestone spojrzęła na spuszczoną głowę i zrozpaczoną postawę.

— Moja droga Floryno — rzekła — pozwól się ostrzedz. Nie powinnaś się tak rozdrażniać każdą słabością dziecka. Twój syn jest delikatny i musisz być przygotowana na ten los wszystkich matek, że nieraz jeden będzie niedomagają.

Ale Floryna spojrzęła na siostrę rozpaczliwym wzrokiem.

— Klaro! — zawołała, — powiedz coby się stało, gdyby mój syn umarł?

Lady Leestone cofnęła się przerażona i zbladła nagle, równie jak Floryna.

— Ach Floryno — rzekła, — nie myśl o tak strasznej rzeczy, biedny Alfredek!

— Muszę myśleć, bo się boję. O Klaro! jak on dziś źle wygląda, a jego rączki są tak białe, że je przejrzeć można!

— Mimo to nie sądzę, aby był słabowitym, jest tylko, jak już ci powiedziałam — delikatnym.

— Nie znam się na tych różnicach, ale się o niego boję — odparła Floryna. Powiedz mi Klaro, co by mnie spotkało gdyby umarł?

— Straciłabys bez wątpienia największą pociechę w życiu — odpowiedziała siostra.

— Nie rozumiesz mnie. Naturalnie, że kocham Alfredka, ale teraz chcę mówić o Clydesdale, o tytułach i majątku. Jakie mogło by być moje położenie w razie, gdybym straciła dziecko?

Lady Leestone z przerażeniem, patrzyła na siostrę.

— Jestem równie przestraszona, jak ty, Floryno — rzekła — bo nigdy nie pomyślałam o tej możliwości. Było by to zniszczeniem twych najświetniejszych nadziei.

— Ruina! — wykrzyknęła Lady Clyde — to straszne słowo, Klaro i ma szerokie znaczenie. Zawsze przecie zostaną Lady Clyde.

— Tak, jak ja w razie śmierci Johna, byłabym zawsze Lady Leestone; ale tytuł jest mamidłem, jeżeli go nie nie podtrzymuje. Gdyby cokolwiek, broń Boże, stało się Alfredkowi, tytuł przeszedłby na Adryana Clyde, wtedy on, teraz już sir Adryan, stałby się dziedzicem majątku, a jego żona Lady Clyde!

— Lady Clyde! A czemżebym ja była? — zawołała. Floryno — jakże może być dwie Lady Clyde?

Siostra wytłomaczyła jej, że była by wtedy jedna rzeczywista, a druga tytułarna lady Clyde.

Floryna westchnęła. — A moje dochody? Wielbym miała wtedy Klaro? czy koniecznie musiałabym usunąć się z Clydesdale?

— Nie byłoby rady na to. Twoje prawa póty istnieją, póki Alfred przedstawia dziedzica ojezstego swego rodu. Ale intercyza zapewnia ci ośmset funtów rocznie, zahypotekowanych, jeśli się nie mylę, w innej majątności Clydów, Falburne. Jest tam rodzaj małego zameczku; zwykła to rezydencja wdów w rodzinie Clyde i słyszałam jak mówił sir Rupert, że to bardzo ładna miejscowość. Mieszkała tam jego matka.

— Nie potrzebuję wdowiego domu! — krzyknęła Floryna. — Jeżeli nie będę miała Clydesdale, to nie dbam o nic. Ach! jak to być może... Byłam żoną sir Ruperta, a temsamem bliższą dla niego od wszystkich krewnych i dla tego też cały jego majątek powinien przyjść na mnie, a nie na Adryana Clyde!

— Ależ Clydesdale jest majoratem. Rupert nie mógł zmienić dla ciebie prawa — rzekła Lady Leestone.

— Majoraty są nedorzecznością, Klaro. Czy to słusznie, aby to, co należało do męża, przeszło w ręce obcych? Byłam żoną Ruperta, a teraz ta kobieta — jakże ją zowią? — Eleonora? — ma być panią na Clydesdale? To jest, jeśli bym straciła Alfredka.

— Miejmy nadzieję, że go nie stracisz. Gdyby jednak tak się stało, miałabyś na dożywocie ośmset funtów i Falborne. Utraciłabyś tylko prawa do Clydesdale.

— A klejnoty? — zawołała Floryna. — Jeszcze ich nie widziałam, a tak często myślałam, jak się w nie stroić będę... Kto miałby brylanty, Klaro? To już powinno być mojem.

— Nie, klejnoty poszłyby za tytułem i dobrami; dostałaby je żona Adryana. Tracąc Alfredzia, straciłabyś i to także.

— Klaro, idź na palcach, zobacz jak się ma? Idź, najdroższa. Weź go za puls. Ta kobieta nie przysyła nam żadnej wiadomości.

— Nie można go budzić, Floryno, moja bytność nie przyspieszy wyzdrowienia, i prędzej mogłabym mu zaszkodzić.

— Brunton powinna co chwila dawać mi wieść o dziecku. Wiesz jak jestem niespokojną. Ludzie tej klasy nie mają serca.

— Brunton jest bardzo troskliwą kobietą: — Powinnaś się cieszyć, że dziecko jest w tak dobrych rękach. Nie patrz tak rozpaczliwie Klaro, nie masz jeszcze do tego powodu. Alfred żyje i może jeszcze wyrosnąć na silnego, mocnego chłopca. Czyż koniecznie musi umrzeć dla tego, że na jego życiu tak wiele ci zależy?

— Nie; ale mnie zawsze los przesładuje — powiedziała Floryna. — Wciąż doznaję zawodów.

— Widzisz oto i wiadomość — rzekła Lady Leestone.

— Dziecku jest lepiej i pyta się o mylady — oświadczyła służąca.

— Chodź ze mną Klaro — rzekła Floryna a lekkie rumieńce powróciły na jej twarz delikatną.

— Nie teraz — odparła Klara. — Im mniej osób będzie miało w koło siebie, tem lepiej.

Floryna wyszła, zostawiając siostrę samą. Samą, — ale z dziwnymi myślami, którym się opędzić nie mogła. Piękna twarz spochmurniała i brwi się zmarszczyły. — Dziecko jest bardzo wątłe — myślała. Floryna ma słuszną niepokojącą się o syna.

Gdy za chwilę poszła do dzieciennego pokoju ładny obrazek przedstawił się jej oczom: Alfredzio siedział na kolanach matki odbierając hołdy od służących, którzy chcieli go zobaczyć, dowiedziawszy się że mu lepiej.

— Co mu było? — zapytała w chwili potem Lady Leestone, biorąc piastunkę na bok.

— Prawdę mówiąc dziecko miało jakiś atak nerwowi i może jeszcze go dostać — odparła. — Muszę bardzo na niego uważać.

— O proszę pilnuj go pani, — rzekła Lady Leestone. — Od jego życia wiele zawisło!

ROZDZIAŁ V.

Mały sir Alfred wyzdrowiał i przyszedł do sił. Atak się nie powtórzył, a wszyscy czuwali nad nim troskliwie. Lady Clyde spędzała z nim całe godziny i powoli obawy jej się uspakajały, niemniej prawie go nie odstępowała. Nawet Karolek Archer dwa razy nie został przyjęty.

— Powiedz kapitanowi Archer że mój syn jest chory, więc nie mogę widzieć nikogo — odpowiadała lokajowi, oznajmującemu gościa.

Kapitan Archer zdobył się nareszcie na odwagę i napisał bilecik, mówiąc że zaczyna być boleśnie zazdrosnym o Alfredka. Floryna przeczytała ten bilecik z rumieńcem i westchnieniem.

— Widzę, że mu to przykro — pomyślała. — Jest tak wierny w przywiązaniu swem do mnie. Muszę go przyjąć jutro, jeżeli przyjdzie.

Przyszedł uprzejmy p. kapitan, Lady Clyde była w pokoju u dziecka.

— Ach! ten poczciwy kapitan Archer! rzekła, gdy bilet jej przyniesiono. — Prosić. Pani Brunton, bądź uważną, niech dziecko się nie zmęczy zabawką z konikiem i nie dawaj mu zanadto wody z łodem.

— Niedługo wrócę.

Bona uśmiechnęła się do siebie po wyjściu matki sir Alfreda, lecz potem westchnęła, myśląc o tym samotnym, który zamknął oczy gdzieś daleko.

Lady Clyde biegła lekkim krokiem szesnastoletniej dziewczynki. Nie poszła jednak wprost do salonu, gdzie ją gość oczekiwał, ale skierowała się wprzód do sypialni. Codzienny czarny strój musiał być zmieniony na powiewne czarne gazy, musiała przygłądzić fale kasztanowatych włosów a przytem miała ładniejszy wdowi czeppek, niż ten który niedbale włożyła od rana. Niespokojnie badała, czy jej płeć była równie świeża, jak zwykle, a potem z westchnieniem i uśmiechem zesłała do gościa.

Nikt nie zarzucił nigdy kapitanowi Archer, aby był złym człowiekiem, ale też nikt nie powiedział, aby był dobrym, lub szczególnie szlachetnym. Charakteru niezdecydowanego i bez zasad, był tem, czem go świat zrobił. Z zacnemi, uczciwemi ludźmi był zacnym i uczciwym, z próżnymi i światowymi próżnym i światowym. Miał tylko dwie wybitne skłonności: jedną do stanu żołnierskiego, drogą był wielki pociąg do ładnej, płochy Floryny, której bardzo nadskakiwał jeszcze przed jej wyjściem za sir Ruperta. Gdyby los im był sprzyjał, mogli by byli być bardzo szczęśliwą parą, ale majątek kapitana był mierny, musiał się więc wyrzec swoich zamiarów. Nie spuszczał jednak z oczu Floryny, a przy spotkaniu spojrzenie i westchnienie znaczące były oznakami jego uczuć.

Ale między Floryną Sabine, młodą dziewczyną bez posagu, a lady Floryną Clyde, bogatą wdową, była wielka różnica. Podczas gdy inni trzymali się na uboczu, szanując jeżeli nie smutek jej, to żalobę, kapitan występował śmiało, niemal już w roli konkurenta. Przychodził często i przysyłał czule bileciki.

A był to ładny, wysoki mężczyzna o jasnych włosach, dużych niebieskich oczach i złotych wąsach. Nie było wiele rozumu w jego twarzy, ale był niezaprzeczenie ładnym.

Gdy Floryna weszła, powstał, składając głęboki ukłon.

— Co za dobroć ze strony pani, że dla mnie opuszczasz swój skarbie! — rzekł kapitan, a mówił to szczerze, bo w jego oczach dziedzic Clydesdale był skarbem, którego pilnie strzedz było potrzeba. — Ale też wieki całe nie widziałem cię mylady.

— Bardzo pięknie z pana strony, że tak niecierpliwie liczysz czas — odparła Floryna z najczarowniejszym uśmiechem, często widzianym przez sir Ruperta przed ślubem, ale nigdy potem. — Dla mnie, biednej wdowy, przyjemność to i łaska, kiedy mnie ktoś odwiedzi. Tak byłam zajęta dzieckiem.

Miał tysiące komplementów do powiedzenia, powtórzył jej wszystkie plotki, pogłoski, skandaliki towarzyskie; zachwycił ją opisem toalet różnych pań na ostatnim balu oficerskim. Floryna westchnęła nad fantazyjnym ubraniem z karmazynowego atlasu i białych koronek.

— Lubię kostiumowe bale i piękne stroje — rzekła.

— Jest to rzecz bardzo naturalna u pani — odparł kapitan. — Piękne kobiety lubią piękne toalety.

— Floryna westchnęła, patrząc na swoją krepę. — Nikt nie wie — rzekła — jak ten strój mnie męczy.

Miała przytem prawie łzy w oczach, lecz kapitan szepnął na pociechę, że będzie to dla niego bardzo szczęśliwą chwilą, gdy krepka i czeppek zostaną zdjęte.

— To grzech zakrywać takie piękne włosy — mówił — a Floryna zgodziła się z nim zupełnie.

— Słyszałem wczoraj — powiedział kapitan, — że pani jedzie wkrótce do Anglii. Czyto prawda?

— Tak — odrzekła — czekamy tylko przyzwolenia sir Johna, bo chcę, aby siostra jechała ze mną na rok lub dwa. Życie w Anglii, a zwłaszcza w mojem obecnem stanowisku, będzie dla mnie zupełnie nowem.

— Jakżebym pragnął pojechać z panią i być jej opiekunem! — rzekł czule kapitan.

— Byłoby to bardzo przyjemną rzeczą — odparła Floryna. — Ale właśnie rzeczy przyjemnych nie możemy mieć zawsze — dodała filozofując smętnie.

— Pani będzie w Clydesdale na przyszłą wiosnę, — zapytał kapitan.

— Tak się spodziewam, — odparła.

— Mam nadzieję pojechać do Anglii na przyszłe lato. Chciałbym abyś pani odłożyła swą podróż i pozwoliła sobie towarzyszyć.

Floryna z uśmiechem potrząsnęła głową. Ta płocha osóbka czuła jednak, że było niepodobienstwem obejmować w posiadanie majątek sir Ruperta razem z kapitanem Archer.

— Czy pani sądzi, że jej synek zniesie dobrze tę podróż? — spytał po chwili.

— Myślę, że tak. Wszyscy mówią, że mu to do zdrowia posłuży — odrzekła Floryna.

Kapitan z uszanowaniem i czułością zbliżył się do niej.

— Raczysz mi pani przebaczyć, Lady Clyde, — rzekł — jeśli jako dawny przyjaciel, zadam jedno pytanie. Dyktuje je prawdziwa przychylność, a nie prosta ciekawość.

— Jestem o tem przekonana — powiedziała Lady Clyde.

— Gdyby cośkolwiek — co nie daj Boże — stało się małemu, czybyto zrobiło wielką różnicę w położeniu pani?

Dziwna rzecz, że umiał tak trafić w główny punkt jej myśli i niepokoju jej życia.

Podniosła też zwolna głowę i spojrzała na niego, poblądwszy trochę.

— Tak, odparła, zrobiłoby to wielką różnicę. Jeśli mój syn będzie się chować zdrowo, będę panią wszystkich dochodów, aż do jego pełnoletności. W przeciwnym razie tracę wszystko, pozostaje mi tylko dochód ośmiuset funtów rocznie i mała siedziba zwana Falburne.

Kapitan się zadumał.

Śmierć dziecka sprawiła by rzeczywiście ogromną różnicę w losie Floryny, ale i tak wdówka, mająca ośmset funtów dochodu nie była partją do pogardzenia.

— Mam nadzieję — rzekł, — że tak dla pani, jak dla tej ładnej dziewczyny los będzie łaskawy. Słyszałem że z delikatnych chłopców wyrastają silni ludzie. Ale czyż pani radziła się lekarza, żali to jest odpowiednia pora roku do podróży?

— Chcę przybyć na wiosnę do Clydesdale, bardzo tego pragnę..

Kiedy się oddalił, Lady Clyde wróciła do dziecka, lecz czego miała się obawiać? Strach był nienaturalny. Oto mały dziedzic Clydesdale Towers siedział z bębkiem w ręku i bił w niego wesoło. Nie wyglądał na chore dziecko. Jednak nie było końca staraniom, którem otoczono biednego malca. Bona raz rzekła w pół żartem, w pół serio.

— Mylady, nie rób pani takich historii z Alfredkiem. Dziecko, tak bardzo pielęgnowane i kochane w ten sposób, nigdy się nie uchowa.

— Dla czego? — spytała dumnie Lady Clyde.

— Nie umiem tego powiedzieć — odparła Brunton, ale wiem to z doświadczenia. Może taka zbyt uczynna troskliwość matki jest walką z wolą Boską? Tak mi mówiła jedna starszka, która długo żyła i wiele widziała na świecie. Módl się mylady rano i wieczór, aby Bóg obdarzył twego synka zdrowiem i siłą, i ufaj miłosierdziu Pana nad Pany.

Odtąd Floryna, która rzadko modliła się za siebie, zaczęła gorąco modlić się za syna.

Pozostawało już tylko pozyskać pozwolenie sir Johna na podróż żony. Czy przystanie? siostry przewidzieć nie mogły. Kochał żonę, miał do niej zaufanie; jej powaga, majestatyczny układ nieraz mu były przydatne. Była przytem dobrą gospodynią, umiała przyjąć dużo gości małym kosztem. Sama lady Leestone nie wiedziała, jak jej propozycja będzie przyjęta; pragnęła pokierować młodszą siostrą w ważnej chwili jej życia, życzyła sobie poznać piękną siedzibę, której będzie panią, widzieć klejnoty Clydów, jednym słowem zobaczyć całą wspaniałość i wielkość, która się stała udziałem Floryny. Była dumniejsza od niej i utrata dziedzictwa Clydesdale byłaby dla niej daleko większym ciosem, niż nawet dla Floryny.

Udała się też raz do kancelaryi męża i przedstawiła swą prośbę w krótkich słowach, on spojrzął na nią z powagą.

— Ten projekt wcale mnie nie dziwi — rzekł, — i nawet przewidywałem go. Czekałem tylko na twoje wystąpienie, aby ci powiedzieć rzecz, która nas oboje obchodzi.

— Mam nadzieję, że nie posądzasz mnie o osobisty interes w tej sprawie — odrzekła Lady Leestone.

— Nie, — rzekł sir John poważnie, — Floryna jest bardzo miła, ale bardzo bezmyślna. Stanowisko, które ma teraz zająć, jest tak wielkiej wagi, że trzeba koniecznie aby miała kogoś starszego i mądrzejszego przy sobie. Przytem jestem kontent ze względu na ciebie, że pojedziesz do kraju i będziesz mogła użyć swego wpływu na siostrę. Lecz powiem ci jeszcze coś więcej. Pomimo ciężkiej pracy i zabiegów moich jesteśmy prawie zrujnowani; jeśli do przyszłego roku nie będę mógł dostać od kogoś pięciu tysięcy funtów, będziemy zgubieni. Otóż Floryna będzie mogła pożyczyć nam tę nieznaczną dla niej, a ogromną dla nas sumę. Będzie miała procent, i pewność odbioru, za to ci ręczę. Mówiłaś że dochody Clydesdale wynoszą najmniej dwadzieścia tysięcy rocznie.

— Sir Rupert mówił mi, że taki był jego dochód; nie wiem z jakich źródeł pochodził.

— Floryna nie powinna się zatem wahać z pożyczką. Wyjednaj to u niej; możesz działać z czystym sumieniem, bo jest to dla niej jedynie mała cząstka jej rocznego dochodu, większego niż jest zdolna wydać. Jedź zatem, droga Klaro; jeśli pojedziesz do Anglii to nietylko będziesz opiekunką siostry, ale agentem moim. Rzeczywiście posyłam cię w celu pożyczania od Floryny pięciu tysięcy funtów. Czy przystajesz?

— Przystaję — odparła Lady Leestone.

Twarz jej męża rozjaśniła się.

— Powiem ci jeszcze więcej, Klaro, kiedy widzę, że pragniesz mi być użyteczną. Wdałem się w przedsiębiorstwo, które może nas uczynić bardzo bogatymi, włożyłem w nie wszystko co posiadamy, ale potrzebuję pięciu tysięcy, aby je doprowadzić do końca. Jeżeli mi się powiedzie, co jest prawie pewną rzeczą, nie będziesz miała potrzeby obawiać się tego, że moja śmierć lub starość musi być złączona z biedą twoją. Pojedziemy do Anglii i będziemy swobodnie żyli. Co mówisz na to?

— Dostanę pieniądze, — odpowiedziała Klara ze spokojnem postanowieniem. — Możesz mi zaufać, Johnie.

— A ja z mej strony daję ci urlop na dwa lata, i ułatwię podróż. Musisz być baczna na wszystko, Klaro. Czy to prawda, że kapitan Archer był kilka razy z wizytą u Floryny?

— Tak, ale nie jestem o niego niespokojną, — rzekła Lady Leestone. — Floryna miała zawsze do niego skłonność, lecz jest za słabą aby mogła czuć prawdziwą miłość. Gdy raz będzie w Anglii i zrozumie wszystkie korzyści swego stanowiska, przestanie myśleć o nim.

— A jakże się ma dziecko? — spytał sir John. Dumna twarz Lady Leestone pobladła na te słowa.

— Lepiej, ale zawsze bardzo delikatne i słabe stworzenie — odrzekła.

— Bardzo mi przykro to słyszeć, bo życie tego malca jest bardzo drogiem dla Floryny, więc i dla nas. Coby to była za różnica, gdyby nie stało tego malca? A jak ostatecznie stanęły rzeczy sprowadziłyby to i naszą ruinę. Musisz go dobrze pielęgnować, Klaro!

— Zrobię co będę mogła, niezależnie nawet od osobistych widoków. Kocham tego malca; śliczny dzieciak z anielską twarzą.

— Nie mów tego, — przerwał sir John wdrygając się, — kiedy kto mówi, że dziecko ma anielską twarz, zdaje mi się że dziecko umrze z pewnością.

Mały spadkobierca Clydów, spał w tej chwili w kołysce z rączkami zaciśniętymi w pięstki i główką otoczoną jasnemi loczkami, nie wiedząc nie jakie nadzieje łączyły się z jego życiem, ani o tem że trzymał los matki i jej rodziny w małych rączkach. Nawet Karol Archer opierał na nim plany swojej przyszłości — Tak bywa zawsze, gdzie tylko są pieniądze, nie dzierżone silną ręką właściciela. Mnóstwo ludzi pragnie z nich korzystać i przemyśliwa jak je zdobyć?

ROZDZIAŁ VI.

Podróż odbyć się miała w warunkach wszelkich możliwych wygod. Gdyby Alfredek był cesarzem Indyi, nie mógł by mieć staranniejszej opieki. Wielka zmiana zaszła tym czasem w Lady Leestone, stała się poważniejszą i bardziej milcząca. Wyglądała jak ktoś obarczony ciężarem; czoło jej było często zmarszczone, jak gdyby pełne niespokojnych myśli. Każdy uważał tę zmianę; jedni przypisywali ją obawie o siostrę i małego dziedzica, drudzy sądzili że niechętnie wydalala się z domu. Zauważano że była szczególnie łaskawą dla bony Alfredka, korzystała z każdej sposobności, aby być uprzejmą i wspaniałą dla niej. Tymczasem mały dziedzic stawał się coraz zdrowszym i silniejszym.

Nakoniec przyszła chwila, w której podróżne opuściły Lahorę, udając się do Bombaj, z kąką miały odpłynąć na statku z piękną nazwą *Ptaka morskiego*. Był to piękny parowiec urządzony z całym zbytkiem, na jaki tylko można sobie pozwolić na morzu.

Po nudnej podróży lądem obie siostry i mały Alfredek przybyli szczęśliwie do portu i wsiedli na okręt. Sir John i kapitan Archer odprowadzili je na pokład. Kapitan zbliżył się do Floryny ze wspaniałym bukietem.

— Nie mogę pożegnać pani tak obojętnie, jak to być musi w obec ludzi. Czy pani nie nazwiesz tego namiętnością?

Lady Clyde uśmiechnęła się. — Nie jestem tak surową dla przyjaźnych mi — rzekła.

— Czy przyjmiesz pani te kwiaty z prośbą, abys, gdy zwiedną, nie rzuciła wszystkich w morze i zachowała jeden, najmniejszy na pamiątkę moją.

Zaśmiała się z zalotną wesołością.

— Jeżeli tylko nie zapomnę, to zachowam ten oto, różowy — rzekła — a on posmutniał.

— Czy to wszystko co mi możesz powiedzieć pani w zamian?

— W zamian za co? — spytała zalotnie.

— Już za późno na tłumaczenia. Czy zachowasz pani kwiat, który by mówił ci o mnie.

Hałas jakiś zrobił się koło rudla. Floryna przecież nie zważała na niego. Zarumieniła się, była nawet wzruszona trochę.

— Tak, — szepnęła — zachowam kwiatek różowy.

— A jeżeli przyjadę w lecie do Clydesdale, co mi pani powiesz?

— Witam cię kapitanie — odparła, znów uśmiechając się wesoło.

— Czy jesteś pani tego pewną? — zapytał kapitan poważnie.

— Zupełnie pewną.

Wziął małą rączkę okrytą obeisłą rękawiczką i pocałował.

— Zawsze byłaś dobrą, słodką Floryną moją — dodał gorąco. Gdy przyjdę z ważniejszą prośbą czy nie odepchniesz mnie?

— O! jakżesz pan możesz wymagać, abym tak wiedziała naprzód wszystko, co będę robić i mówić kiedyś — zawołała z dziecinnym grymasem.

— Spróbuję szczęścia, — rzekł kapitan, uśmiechając się też, jak do dziecka. Jeszcze raz pocałował w rączkę i odszedł.

Nie długi czas upłynął od chwili, w której przeczytała słowa. „Umarł o zachodzie słońca.“ Krepa na jej sukni była jeszcze świeża, czepek wzdowi jeszcze nowy, a jednak gdy piękny okręt pruł spokojne fale, wszystkie jej myśli zwróciły się do kochanka, od którego przyjęte kwiaty przyjemnie woniły, którego uśmiech i czułe słowa były dla niej jedynym wspomnieniem, jakie unosiła z indyjskiego wybrzeża.

Lady Leestone patrzyła niespokojnem okiem na pożegnanie siostry z kapitanem Archer. Po jego odejściu zbliżyła się do Floryny.

— Nakoniec poszedł sobie — rzekła. — Bałam się że z nami popłynię, tak mu trudno było się rozstać z tobą. Czy to od niego te kwiaty, Floryno?

— Tak i bardzo są piękne — odrzekła Lady Clyde.

— Wrzuciłabym je w morze, będąc na twojem miejscu; mają jakiś mdły zapach, wcale nieprzyjemny.

Floryna spojrzała z uśmiechem na siostrę.

— Ja przecież zatrzymam bukiet — rzekła. — Nie dziw się Klaro, jeśli kapitan Archer przyjedzie do Anglii.

— Ani mnie to zadziwi, ani ucieszy; rzecz to dla mnie zupełnie obojętna — odpowiedziała lekceważąco.

Floryna spojrzała z wyrazem zawodu. Myślała że siostra zacznie jej mówić, jak miłość kapita-
na jest widoczną. Choćby ją najmocniej kajała za to, byłaby to rozmowa wielce miła dla Floryny.

(Dalszy ciąg nastąpi)